Nr. 7. Lwów, Niedziela dnia 1. listopada 1874 r. **Rok I.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

VI.

O KAPŁAŃSTWIE PUBLICYSTYCZNEM.

Jeden z najznakomitszych pisarzy polskich, mówiąc temi dniami o prasie perjodycznej w ogóle, a o polskiej w szczególności, i nie szczędząc jej, bardzo poczęści zasłużonych zarzutów, wyraził zdanie, iż dziennikarstwo jest rodzajem kapłaństwa, którego świętą szatę srodze sponiewierali i poniewierają ciągle panowie kapłani sami. Że sponiewierała i poniewiera się szata, temu przeczyć nikt się nie pokusi. Chodzi tylko o to, czyli szata owa w istocie jest kapłańską, i czyli charakter taki mieć może i powinna? Ponieważ zaś to, co być **może**, w praktyce ważniejszem jest od tego, co być **powinno**, i ponieważ uznając słuszność pomienionych zarzutów i zastanawiając się nad możebnością naprawienia złego, przedewszystkiem i wyłącznie praktyczną stronę kwestji uwzględniamy, więc niechaj nam wolno będzie odpowiedzieć jedynie na to zagadnienie, czy prasa perjodyczna **może** przybrać charakter kapłański, lub nie, czy może ona lub nie, stać się kościołem, w którymby nic nie poniewierano, nikomu nie bluźniono?

Nie! W kościele może być tylko **jeden** bóg, a ponieważ prasa ma ich więcej i bardzo różnych, więc podzieliła się na kilka kościołów. Kościoły te walczą z sobą i wskutek tego przemieniono je z czasem w twierdze, a poważnych kapłanów w żołnierzy. W obozie trudno być tak pełnym namaszczenia i świątobliwej grozy, jak w kościele, a w ornacie i z monstrancją w rękach nie podobna iść w tyraliery. Mówimy tu zwłaszcza o prasie politycznej, na którą najwięcej spada zarzutów, która z natury swojej najwięcej ma znaczenia i wpływu, i niemniej też z natury swojej dzielić się musi na takie, o jakich mówimy, warowne obozy, zapalczywie z sobą walczące. W walce tej już nie ornat, ale sponiewiera się i kusy mundur. Smutna to prawda, a smutniejszy jeszcze będzie jej skutek, jeżeli się tę z konieczności powalaną prasę postawi na piedestalu, i pokaże ją narodowi jako palladium, zamiast zostawić ją tem, czem jest w istocie: lasem, w którym każdemu wolno wołać i gdzie każdemu echo odpowiada. W tym lesie, i najczystszej, najlepszej sprawie obok powołanych jej obrońców narzucą się ochotnicy, którym nie podobna przeszkodzić, by przeraźliwym wrzaskiem nie psuli harmonijnego tamtych chóru. Wobec takiego faktycznego stanu rzeczy i wobec niepodobieństwa zapobieżenia mu, należy ponoś starać się z jednej strony, aby wraz z „kapłanami“ bluźniercy i kacerze zbyt wielkiej przewagi nie uzyskali, i aby poszanowanie drukowanego słowa nie dochodziło do rozmiarów bałwochwalczego kultu, a z drugiej strony, aby wraz ze strąconemi z piedestalu fałszywemi powagami, prawdziwych nie wdeptano w błoto. Sposób na to łatwy i dawno już gdzieindziej wynaleziony i praktykowany.

Dzienniki polityczne mają raz więcej znaczenia i powagi, niż im się należy, drugi raz mniej, dzięki bezimienności piszących. Dziennik przemawia nie jako indywiduum, ale jako ciało zbiorowe, i poza jego monarchiczną liczbą mnogą domyślać się czasem można Bóg wie jakich wielkości. Dziennik przechodzi z jednych rąk w drugie, redaktorowie zmieniają się, firma zostaje ta sama i długo wojować nią można, nim publiczność pozna zmianę, jak Krzyżacy po słabych cięciach Grażyny poznali, że pod zbroją Litawora nie ma jego ramienia. Sparzona parę razy, publiczność niesłusznie czasem lekceważy później głosy dziennikarskie, zasługujące na jej baczniejszą uwagę. Oprócz tych i wielu jeszcze innych niedogodności są znowu inne, indywidualne, które dotykają już tylko piszących, a wszystkim razem zaradzić by można, gdyby zaprowadzono francuski zwyczaj podpisywania artykułów. Niktby już wówczas wprawdzie nie mógł być „kapłanem dziennikarstwa,“ ale każdy mógłby być kapłanem własnych swoich zdań i przekonań — prasa stałaby się parlamentem ogólnym, rodzajem demokratycznej gminy kantonalnej szwajcarskiej, gdzie każdy mówi i odpowiada za siebie, bez maski i nie zasłonięty niczyją powagą, oprócz tej, jaką ma prawda i dobra wiara.

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Gdy to się dzieje w pokoju Olimpji, salon rozlega się wesołością... jadalna sala przystrojona przepysznie przedstawia widok pełen wytworności i smaku. Ulegając tylko łatwo odgadnionemu życzeniu córki, rodzice zgodzili sią na to, ażeby na wesele całego sąsiedztwa nie spraszać i ograniczyć się małą liczbą wybranych, lecz Radzca nie odstąpił od tego, aby wszystko odbyło się z jak największym przepychem i okazałością.

Dobyto więc z odwiecznych schowek starożytne srebra familijne, szkła, porcelany, szafy błyszczały puharami, roztruchanami, złocistemi półmiskami i srebrnemi beczkami. Sam stół uginał się pod ciężarem trzech ogromnych waz, widocznie tylko dla ozdoby wykutych, bo każdą z nich z podstawą dwóch ludzi dźwigać musiało... Pomiędzy niemi bukiety w wazach ze starej saskiej porcelany przepysznie malowanych, kunsztowne płody cukierników i całe szeregi rżniętego szkła... zajmowały stół z końca w koniec i niedozwalały widzieć bielizny z herbami domu, niegdyś umyślnie tkanej dla nich na Szląsku. Salę tę zdobiły portrety antenatów w bogatych ramach, a na chórze już mieściła się muzyka, która przygrywać miała do obiadu....

Radzca sam jeszcze raz wyszedł obejrzeć, czy wszystko wykonano po jego myśli i zadowolniony obszedł stół, rozpatrując wszystkie szczegóły....

Nie potrzebujemy mówić nawet, że obiad miał być arcydziełem umyślnie przybyłego Francuza, który nie żałował ani wydatku ani konceptu....

Przy dźwiękach muzyki grającej Mendelsohnowski Hochzeits-Marsch, weszli wszyscy do jadalni, której okiennice i firanki osłoniły dzień jeszcze jasny, aby iluminacja wcześnie zapalona lepiej się wydać mogła. Państwo młodzi siedzieli obok siebie w pośrodku stołu, naprzeciw piramidy cukrowej, wystawiającej ogromną grecką świątynię.... Zygmunt, który dosiągł do szczytu życzeń, mógł być jeżeli nie szczęśliwym to dumnym. Olimpja blada siadła przy nim jak skazana na śmierć istota.... Okiem zgasłem powiodła nic nie widząc po sali... niedostrzeżona łza powlokła je mgłą. Szambelan za to zakładając serwetę pod brodę dla zabezpieczenia swych dekoracyj od sosów, miał minę tryumfatora.... Reszta gości śmiejąc się i rozpatrując w twarzach głównych artystów dramatu zajmowała miejsce.... Służący w białych rękawiczkach roznosili już zupę....

Możeż być co nudniejszego nad ucztę podobną, ceremonialne jedzenie z obowiązkową rozmową, wśród których ceremonja zawadza jedzeniu, jadło przeszkadza rozmowie, i nie wie się najczęściej ni co się jadło ani jakie się powiedziało niedorzeczności?

Nikt nie uważał pewnie ani się dziwił, że Olimpja nic do ust nie wzięła, że pan młody pił tylko wino które sobie machinalnie nalewał... kilka razy próbował z cicha odezwać się do żony, która zwróciła się doń, posłuchała, nie zrozumiała znać i odwróciła się. Z drugiej strony siedział ojciec Szambelan... żarłok i smakosz, który czuł się w obowiązku bawić synowę, a szatan obżarstwa kusił go tak na te wszystkie przysmaki, iż dławił się rozmową razem i jedzeniem....

— Jedźcie państwo kiedy już taki jest powszechny zwyczaj teraz — mówił do Olimpji wdzięcząc się stary — ale powracajcie rychło.... Ja tymczasem dołożę starań, aby urządzić mej drogiej synowej, królowej naszej, jej przyszłą rezydencję — jak naj... jak najwspanialej.... Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby zaszczycając mnie zaufaniem swem raczyła mi wydać rozkazy jakie.... gdyby mną rozporządzić chciała, powierzyć mi — czego pragnie....

Olimpja słuchała go z uwagą — trudno się jej było odezwać. Szambelan ze swą dworacką szczebiotliwością, uśmiechami, łamańcami, — obudzał w niej wstręt niewysłowiony.... Lecz tyle na nich oczów patrzało! Olimpji nie szło o siebie, wzgardziłaby sądem ludzi — nie chciała ojcu zrobić przykrości — i zmusiła się do odpowiedzi.

— Bardzo panu Szambelanowi dziękuję — odrzekła po namyśle, z obojętnością znaczącą. — Nie przywiązuję najmniejszej wagi do mieszkania, do wygód — fantazjom staram się bronić.

— A! tak surową dla siebie nie godzi się być! przerwał dworak.... Przecież pani coś lubić musi — kwiaty — obrazy... książki....

— Wszystko co piękne cenię... ale nawykłam nie przywiązywać się bardzo do niczego....

Sądziła już, że podany punch zamrożony, który Szambelan pochwycił bardzo łapczywie, obroni ją od dalszej rozmowy — ale nielitościwy papa ciągnął dalej:

— Szanowna pani lubiła podobno i uprawiała muzykę?... wszak tak? i lekarze jej wzbronili używać tego talentu dla siebie i dla drugich. Ja mam nadzieję że się zdrowie poprawi i wirtuozka, która zachwycała dwór saski, nam powróci....

Na te wyrazy — rumieniec błyskawicą przebiegł po bladem licu Olimpji. Zrazu nie odpowiedziała nic — westchnęła — potem szepnęła.

— Zupełnie zapomniałam muzyki....

W tej chwili ktoś zainterpelował Szambelana o wątpliwość genealogiczną, stary był chodzącym almanachem gothajskim... i począł wnet wywód żądany, co Olimpję na chwilę od niego uwolniło.... Z drugiej strony siedziała przy Zygmuncie Radczyni.... Tu rozmowa poufna, którą muzyka niepochwyconą czyniła dla dalszych gości... daleko była żywszą.

— Stało się więc — mówiła matka — najgorętsze życzenie moje spełnione — oddaję ci córkę....

— Wiem, żem to winien tylko pani... lecz, chciej wierzyć iż najwyższą do tego cenę przykładam dla tego jedynie że to mnie do niej przybliża....

Matka spojrzała i westchnęła:

— A! gdyby to była prawda — szepnęła.... Olimpja nigdy cię tak kochać nie potrafi jak ja — ani tak cię ocenić. To biedne dziecko zbolałe, zrażone... potrzebuje człowieka z takim taktem i rozumem, z taką jak wy szlachetną delikatnością.... Zaklinam was, kochany panie Zygmuncie, postępuj z wielką oględnością, jeden krok fałszywy....

— Ja raczej nie stąpię kroku — niż popełnię fałszywy — odezwał się Zygmunt....

— Nie spiesz się!... O! gdybym ja mogła jechać z wami....

Zygmunt nic nie odpowiedział.

— Pisz do mnie — mówiła matka, często, otwarcie, o wszystkiem.... Ja chcę wiedzieć — wszystko — wszystko....

Namyślała się trochę i schylając do ucha Zygmuntowi szepnęła:

— Olimpja chciała wziąć z sobę starą sługę, która z nią była od dzieciństwa. Nie mogłam się oprzeć jej życzeniu — dzisiaj — staraj się jej pozbyć....

— Lub pozyskać — przerwał Zygmunt.

— O! to jest niepodobieństwem!

Toast wzniesiony przez pana Prezesa na cześć państwa młodych ze stosowną, przygotowaną przemówką, po której muzyka huczną odezwała się fanfarą, a goście okrzykiem... przerwał rozmowę matki z zięciem.... Olimpja drżącą ręką ujęła kielich, podniosła się nieco blada... martwa, bez uśmiechu nawet na ustach... powiodła okiem po twarzach i siadła. Zygmunt wychylił swój kielich do dna....

W miarę jak butelki się wypróżniały, duch z nich przechodził w gości, którzy z zarumienionemi twarzami gwarzyli coraz głośniej, coraz weselej. Szambelan opowiadał sąsiadowi anegdotki których głośno nie śmiałby był powtórzyć.... Zygmunt o najgorętszem swem przywiązaniu i wdzięczności zaręczał matkę.... Olimpji myśl tonęła gdzieś w sinej oddali wspomnień, może u progu tej chatki, w której stały dwie trumny kwiatów pełne.... Nigdy smutniejszej panny młodej nie widział nikt z tych gości, którzy na nią ciekawe rzucali wejrzenia....

Prezes, który miał przy sobie Sędziego, starego przyjaciela od serca, po kieliszku jednym i drugim węgrzyna, zasłoniwszy się ręką, rzucił mu w ucho:

— To nie tajna, mości dobrodzieju, że pannę matka do tego skłoniła... żeby jezusowych latek w wianku nie doczekała... ale — wygląda też jakby ją na stos prowadzono.... Piękna panna, a no ja panu Zygmuntowi nie zazdroszczę. Znać że to tam z tą śliczną heroiną nie będzie życie łatwe. Co??

Na to pytanie Sędzia, ogryzający skrzydło kuropatwy, rzekł cicho....

— Jakoś to będzie! zachcieliście... nawykną do siebie — obędą się z sobą, przyprzyzwyczają i wyrobi się modus vivendi. Zygmunt ma minę człowieka z wielkim taktem.

— O! o! nie przeczę — odezwał się Prezes, znać po nim że kuty — ale kiedyż to, kochany Sędzio, mężczyzna kobietę zwycięży?

— To go weźmie pod pantofel — rozśmiał się sędzia — a ma do tego prawo, boć ona w domu pani.... Cóż on jej przynosi, a co ona jemu?! hę?

— Chyba że była chora... teraz chorobie wierzę, szeptał Prezes, wygląda jak z krzyża zdjęta....

— I nie dziwuję się — małżeństwo to przecie ostatnia loterja, — jak się na niem stawkę przegra... pozostaje tylko modlić się do Św. Józefa patrona dobrej śmierci.

— No — dosyć już... a to śliczną prowadzimy rozmowę przy weselnym stole... cha! cha!

Trącili się kieliszkami starzy przyjaciele... Żeby się nam dobrze działo....

— Kochajmy się.....

Pito zdrowia po zdrowiach. Uczta przedłużała się, półmiski nieprzeliczone następowały po sobie, Szambelan jadł, jadł, jadł — zaczynając boleć że może najlepszych rzeczy w końcu już, przy najlepszej chęci — łaknąć nie będzie mógł.... Niestety! żołądek jego nie odpowiadał chuciom!

Muzyka grała Straussów i Labitzkich.... Olimpja zdawała się z niecierpliwością oczekiwać końca tego nieznośnego obiadu....

Zygmunt, który dotąd nie miał czasu i sposobności spytać nawet o rozkazy żony na podróż.... idąc za podszeptami matki, pochylił się nieco ku Olimpji z zagadnieniem.

— Jedziemy do Szwajcarji?

Spojrzała nań jakby nierozumiejąc.

— Sądziłem, że Genewa przypadnie pani najlepiej....

— Wszystko mi jedno....

— Może by było życzeniem jej, gdzie spocząć?

— Zatrzymamy się dzień w Berlinie — jestem chora.

Zygmunt skłonił głowę i zmilczał.... W tem Olimpja sama zwróciła się doń żywo.

— Spodziewam się — rzekła, iż rozporządzenie podróżą przy mnie zostanie.

Chcę być swobodną tak w tem jak w innych rzeczach.... Wiesz pan warunki.... Ja posłuszeństwa nie przysięgłam... a pewną względność zachowam, choćby dla oczu ludzi....

I nie czekając odpowiedzi zwróciła się w drugą stronę.

Zygmunt zbladł. Scierpiał jednak tę zapowiedź, która rolę jego ograniczała do marszałkowstwa dworu.... Zdało mu się że to się później da zmienić....

Wśród dźwięków drugiego marszu uroczystego, goście od stołu wstali nareszcie.... Zygmunt podał rękę tej, która się nazywała jego żoną i przeszli do rzęsiście oświetlonych salonów, w których już czarna kawa i likwory oczekiwały.

O tańcach nie mogło być mowy, panien było tylko kilka, a choć kawalerowie i one bardzo sobie życzyły zaimprowizować choćby mazura.... w powietrzu, nie było zachęty do tańca. Smutna twarz Olimpji, matki, poważny wyraz pana młodego, który się tłumaczył troskliwością jego o zdrowie najdroższej istoty — nie usposabiały do tańców....

Starsi mężczyźni zaczęli się wysuwać do pokoju w którym ich cygara czekały....

Pociąg który miał zabrać z sobą państwa młodych, odchodził ze stacji po północy.... Dwie mile drogi dzieliły Zabrzezie od miasteczka, do którego przodem już wyprawiono kufry i ludzi dla zajęcia osobnego coupé pierwszej klasy.... Zygmunt miał czas przestrzedz, ażeby biletów dalej jak do Berlina nie brano....

Przed stacjami przygotowywały się już powozy, pochodnie, które konni masztalerze nieść mieli — i wszystko co było potrzebnem do drogi....

Szambelan jednak nie odstąpił od cukrowej kolacji, która z herbatą razem w sali na dole miała być podaną. Zaiste zuchwalstwem było, chcieć walczyć z panem Radzcą, o wystawne przyjęcie... ale sprowadzono masy cukrów z Paryża, łakoci i win... i elegancją najświeższą starano się przepych zastąpić.... Wprzódy jednak, nim na dole ostatnie miano wychylić kielichy szampana i musujących burgundów, Olimpja poszła się przebrać do podróży, której w stroju ślubnym odbywać nie mogła. Matka w obawie, aby się strojem jakim nie zdradziła, pobiegła za nią.

Potrzeba było próśb, zaklęć i modłów, aby ją skłonić do trochę staranniejszego ubrania.... Milcząca, zmęczona dała się wreszcie przybrać nie wiedząc prawie co kładła na siebie....

Ostatni raz rzucając okiem łzawem na te pokoiki swe, w których tyle lat przebolała, do których ścian przylegały jej dumy, myśli i sny gorączkowe, Olimpja rozpłakała się... serce jej zamknięte dla matki od dawna otworzyło się.... Nagle rzuciła się jej na szyję łkając i jęcząc....

— Matko moja — zawołała — chciałaś dla mnie szczęścia wedle świata, wedle pospolitego ludzi pojęcia o niem, przebaczam ci... aleś mnie pchnęła na męki....

— Olimpjo! uspokój się na Boga!... ten człowiek....

— O! ja go znam teraz tego człowieka, który cię złudzić potrafił — przerwała córka. Ja go znam lepiej niż wy wszyscy.... Stało się — matko kochana — bądź moim obrońcą, jeżeli w tem życiu głowa mi się zawróci — jeśli oszaleję... nie potępiaj mnie... Ciemna przyszłość, ja jej rozeznać nie mogę, ja za nic nie ręczę — ja za siebie nie ręczę....

— Olimpko droga! Olimpko!.... Ten człowiek przyrzekł uroczyście, że będzie dla ciebie najwyrozumialszym, pierwszym twym sługą. On cię kocha... dodała ciszej.

Śmiech dziki, przerażający powitał te wyrazy. — On mnie kocha! ah!... on mnie kocha... ale ja go nienawidzę. Byłam skazaną na milczenie, on mnie skazuje na kłamstwo! Jego żoną!! on mnie będzie mieć prawo nazywać żoną.... I rzuciła się znowu matce na szyję.

— Nieprawdaż? jestem szaloną — przebacz mi — o! przebacz mi — nie chcę cię obwiniać, nie chcę przypominać, lecz któż winien że Olimpja jest wdową?... Byłam dzieckiem... żyć mi kazałaś w atmosferze parnej, która serce rozkołysała. Sądziłam wówczas że miłość nie jest wymysłem, że ona rzeczywistością i celem,,. że to nie poetów szyderstwo, ale Boże przeznaczenie....

Zapomnijmy — matko moja — i tyś biedna... i ciebie życie zawiodło sto razy i ty nie byłaś szczęśliwą....

Już w podwórzu słychać było klaskanie z batów, gdy obie spłakane, matka i córka, otarłszy łzy z powiek schodzić zaczęły, gdzie już tylko na nie czekano.... W ganku stały tace i kielichy strzemienne, całe towarzystwo śmiało się i gwarzyło... jeden Radzca miał łzy w oczach....

Zbliżył się do córki, która szła ku niemu, przyklękła, schyliła głowę — od niego jednego chciała wziąć błogosławieństwo... choć wiedziała że ono jej biednej przynieść szczęścia nie może. Żądała go nie dla siebie, dla niego, dla tego ojca, który nie wiedział przeszłości, nie domyślał się tragedji jej serca... i mógł potem usnąć spokojnie z myślą że przez dłonie ojcowskie Bóg zlewa promień swej łaski na dzieci....

Starzec ze swą twarzą smutną ale spokojną, stał przed nią, uchwycił jej pochyloną głowę w dłonie drżące i szeptał modlitewkę.

— Dziecię moje — Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakubów..... Błogosławieństwo przedwiecznego niech będzie z wami — na każdym kroku drogi żywota....

Znalazł się i Zygmunt po to błogosławieństwo i przykląkł obok Olimpji.... Nikt nie widział, jak uczuwszy go zbliżającego się drgnęła i podniosła się, unikając otarcia, dotknięcia do wzgardzonej istoty....

A tu wtórzyli goście, gromady, dwór, czeladź, służba.... Niech żyją! niech żyją!

Powóz bukietami zarzucony, z końmi niecierpliwie depcącemi stał już przed gankiem.... Służba jeszcze raz chcąc się zbliżyć do swej pani, zachodziła jej drogę, chwytając ręce, całując szaty, bo Olimpja jak anioł była dobrą i broniła wszystkich i w nieszczęściu a frasunku cudzym... ratowała jakby braterską boleść. Słychać było płacz i łkanie.... Siadano do powozów.... Latarnie i pochodnie rzucały smugami świateł na ten uroczysty pochód... który gdyby nie śmiechy i kwiaty — pogrzeb by może przypominał.

Na dany znak ruszyło się wszystko z przed ganku.... na którego balkonie muzyka grała marsz znowu.... Cały dziedziniec, klomby, aleje oświetlone były lampami kolorowemi... noc letnia, jasna, gwiazdzista, na której tle masami malowały się stare drzewa gdzieniegdzie jaskrawym oblane blaskiem... zdawała się umyślnie wybraną aby obrazu dopełnić.... Przed oczyma Olimpji mignął kościołek w którym się tyle razy modliła... i lipy ją żegnały znajome i krzyż z cierniową koroną na polu... a potem nie widziała już nic...

Obok niej milczący siedział Zygmunt nie śmiejąc przerywać zadumania. Naprzeciw owinięta w płaszczyk Szafrańska — płakała....

Ta nocna podróż do stacji mignęła jak chwila.... Żegnali ją tu jeszcze, ale opóźnienie do pociągu i nieubłagany despotyzm kolei, skrócił tę scenę ostatnią.... Otworzono drzwi wagonu pierwszej klasy... Olimpja wbiegła, Zygmunt i Szafrańska ledwie czas mieli usiąść, gdy świst lokomotywy zapowiedział ruch jej i pociąg wśród okrzyków a wiwatów dźwignął się rozkołysany coraz chyżej, coraz chyżej — w nieznane światy....

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy.)

— Dyskusje tych panów, budzą pewne zajęcie i ciekawość, — odzywam się po francusku do Lili; — lubię patrzeć na usiłowania ludzkie, w zwalczaniu przeszkód.

— Nie przeczę, tem więcej gdy one są nowością; — zresztą, gdyby był cel odpowiadający zajęciu i wysileniom.

— Czyż pani nie uznajesz go godnym?

— Nie powiem aby był niegodny, lecz śmiało utrzymuję, że jest zbyteczny; — i tak już mamy trzysta osmdziesiąt kościołów w samym Londynie, i tyleż odcieni w różnicach tłumaczenia Biblji.

— Gdybym nie bał się popełnić niedyskrecji, miałbym odwagę pana Kuk zapytać, czy pani nie masz również swego własnego projektu?

— Zapytanie pańskie uważam za bardzo naturalne, nawet bez odwagi pana Kuk, — odpowiedziała Lili, i uśmiechając się spojrzała na Rachelę. — Nie przeczę że i ja mam mój cel, do dojścia którego — robię wszelkie wysilenia.

— Czy mi wolno z moją własną odwagą zapytać o ten cel panią?

— Wolno, lecz czyż na to potrzeba odwagi, zdaje się nie jestem ani tak straszną, ani natchioną jak stryjenka — odpowiedziała Lili, a różowy kolor od szyjki przemknął się po bladych licach, doszedł do czoła, zastygł i skonał. — Zamiar nasz, — dodała — tyczy się założenia szkoły, dla ubogich panienek, podług najlepszego systemu.

— Z odpowiedzi domyślam się, że nie tylko pani podjęłaś się tak szlachetnego zadania.

— Byłoby to zaśmiałe przedsięwzięcie na mnie jedną. Stowarzyszonych obecnie jest pięć, z tych trzy z nas, zdałyśmy egzamin, pozostałe dwie przygotowujemy do złożenia go; — wszystkie razem stanowimy komitet; naradzamy się co tydzień, robimy małe oszczędności i wyszukujemy środki do zebrania kapitału, — mamy już blizko sto funtów w banku. — Przyjdź pan, przyjmiemy cię po skończonej sesji — a jeżeli zechcesz wpiszemy do stowarzyszenia. Widzisz pan, — dodała — podnosząc na mnie oczy, — że i ja umiem korzystać z czasu i okoliczności.

— Czy wolno mi o jedną rzecz zapytać?

— Proszę.

— Jakiej sumy potrzeba do założenia szkoły?

— Przynajmniej 500 funtów, tymczasem nabieramy wprawy i praktyki udzielając lekcyj po pensjach za wynagrodzenie, którem powiększamy nasz kapitał.

— Na zebranie go potrzeba pewnego czasu.

— Najmniej dwa lata, a może i dłużej.

— A jeżeli w tym czasie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wreszcie z naturalnego następstwa kolei rzeczy, zmienisz pani swoją pozycję i pójdziesz za mąż?

Nigdy przyszła ochmistrzyni szkoły nie była tak piękną. Cała krew zbiegła się do serduszka mocno niem wstrząsając, długie rzęsy okryły oczy, główka pochyliła się, a rumieniec buchnął płomieniem i zniknął.

— Ja nie mam zamiaru... owszem, przeciwnie... mam postanowienie nie pójść za mąż.

Po wypowiedzeniu tych ciężkich słów, Lili oprzytomniała — i zwyciężając swoje rozdrażnienie spokojnie kończyła:

— Zresztą i na ten wypadek — mamy paragraf w naszym statucie. Każda z nas po zamążpójściu, obowiązana jest jeszcze dwa lata zajmować się szkołą, a przez ten czas szukać zastępczyni — w ostateczności zaś, złożyć pewną kwotę do kasy.

Tajemnica odkryła, dlaczego młodziutka Lili lubi pasjami poezje Longfellowa, a z nich wyjątki o pękaniu serca....

Tymczasem zjedzono już paje, rozbierając kwestję, czy budowa namiotu, była natchnieniem pochodzącem od Boga, czy też pospolitą fantazją, a co gorsze fortelem pana Simpson w celu wywyższenia się, podkopania powagi pana Snape, i zwycięstwa nad współzawodnikiem, panem Kuk. Pani Simpson podczas rozmowy, niepostrzeżenie wychyliła pięć szklanek stautu — nosek jej spiczasty lekko zaczerwienił się, a oczy złowrogi blask rzucały.

— W każdym razie, — zakonkludował pan Simpson, — mam upatrzone cztery stare żagle na Wajezaplu, te zakupimy, pani Simpson dopilnuje ich naprawy, i na przyszłą niedzielę rozpoczniemy naukę, pod własnym namiotem.

— Mój Simpson, nie bądź niedorzeczny, proponując mi podobne zajęcie — odzywa się już śmiało pani Simpson — widziałam owe żagle zeszłego tygodnia, są zupełnie zniszczone.

— Pani Simpson! — zawołał z przyciskiem małżonek. Pan Snape z panem Kuk znaczące zamienili spojrzenia.

— Ależ mój Simpson — odpowiada kochana połowa — trzeba być rozsądnym, na co te wybiegi, tak czy owak będziesz pierwszym kaznodzieją z 250 funtami dochodu.

— Pani Simpson! — przerwał pan Simpson, — droga pani Simpson — nie żartuj sobie, bardzo Cię proszę....

— Nudzisz mnie swemi czułościami, mój słodki Simpson....

Pan Snape powstał, — całe towarzystwo ruszyło z miejsc swoich, dusząc w zarodzie *szoking* pani Simpson, jako żony prezbiterjańskiego purytanina i członka stowarzyszenia.

Wychodzimy, — pan Snape podziękował mi za obecność na kazaniu, pani Snape przepraszała za skromność wieczerzy, a piękna Lili podając mi rączkę na pożegnanie dodała:

— W czwartek od godziny 6ej do 7ej posiedzenie naszego komitetu; w tym tygodniu kolej przyjęcia u mnie....

Część towarzystwa udała się w stronę stacji kolei, drudzy siedli do omnibusów — pan Kuk udawał, że ma odwagę towarzyszyć Racheli, ona jednak poleciła mu iść prosto do domu, aby nazajutrz czerstwy i zdrów, jako traweler, to jest komiwojażer jednej z fabryk szkockich tanich kortów, mógł od rana wyruszyć w drogę, sprzedawać, udzielać kredytu, a przy sposobności miewać kazania.

Zostaliśmy sami, ja i Rachela z domu Snape, po mężu z pisowni Knight, z wymawiania Najt. Ponieważ już było po północy, czyli po Sabacie, Rachela z całą swobodą angielki podała mi rękę, rozmawiając nie jako wyrocznia a raczej jako przyjemna Lend-lejdy, przepadająca za gawędką i lubiąca opowiadanie tyle co kazanie.

— Czy uważałeś Ser, moją ostatnią wersję o izraelitach na puszczy. Samuel nie zadowolony spojrzał na mnie pełen gniewu, pan Kuk był również chmurny. Otóż nie zrozumieli mnie....

— Czybyś pani miała jakąś ukrytą myśl w swojem proroctwie? — przerwałem.

— Zgadłeś Ser, nie pozwolę nigdy, aby fałszywy i chciwy Simpson, ze swą nałogową niewiastą, wszedł do mego przybytku nawet w roli trzeciego kaznodziei.

— I dla tego chcesz go Pani zostawić w namiocie.

— To moja myśl — Simpson niech ma namiot, a my kościół. Zresztą, gdy dojdziemy do takiej sumy, że odsetki brakującej reszty nie przewyższą dochodów kościelnych, Samuel jest zdecydowany uzupełnić tę resztę i zająć kościół, a wtedy Simpson, tak czy owak, jak mówi pan; Simpson, będzie pierwszym kaznodzieją w namiocie. Łączyć kościół z namiotem z powodu odległości drogi i przyzwyczajenia się wiernych do płóciennego budynku — niepodobna!

— Wyborna i pobożna idea — rzekłem — prowadzona dyplomatycznie i zręcznie.

— Istotnie, bo dla czegoż nie może być w jednem miejscu kościół, a w drugiem namiot jednocześnie?

— Zdanie pani podzieli pan Snape, a pan Kuk przyjąć je będzie miał odwagę.

— Pan Kuk często bardzo podziela moje opinje, — odrzekła Rachela, patrząc na końce swych trzewików wychylających się z pod sukni; — pracowity to człowiek i żarliwy w wierze. Lili zupełnie co innego.

— Miss Lili nie podziela opinji pani?

— Pomimo usilnych starań z mej strony, Lili jest obojętna na sprawy kościoła. Matka ją pieści, a ojciec na wszystko pozwala. Ciekawa jestem jak się skończy kwestja zakładanej przez nią szkoły.

— Czy są trudności?

— Dotąd żadnych, gdyż Samuel jest pewien, że przyszła szkoła będzie również miejscem propagandy naszej wiary.

— A pani masz inne w tym względzie zdanie?

— Najsumienniej jestem przekonaną, że Lili nie pozwoli nikomu z nas mięszać się do spraw jej szkoły, nawet własnemu ojcu. Duch tolerancji zanadto rozgościł się w wyobrażeniach Lili, od czasu jej pobytu w Brajton (Brighton) i na kontynencie.

— Miss Snape bawiła na kontynencie?

— Cały rok, wraz ze swoją przyjaciółką i z jej matką. Dużo to kosztowało pana Snape. W podróżach swoich podobno poznała jakiegoś szlachcica katolickiego i od tego czasu nie lubi wspominać o małżeństwie.

— A przecież jedyna to przyszłość, tak zgodna ze szczytnem powołaniem kobiety.

— O, bez zaprzeczenia! — zawołała Rachel, gdy jeszcze opatrzność pozwoli być żoną księdza i dobrego kaznodziei.

— Chociażby drugiego — dodałem.

Miss Rachela spuszcza oczy, wzdycha, uśmiecha się.

Mam odwagę wnioskować, że fantazja buduje w jej głowie założenie jeszcze jednego nowego kościoła, w którym przyszły mąż będzie pierwszym kaznodzieją.

— Życie moje, Ser, zdawało się że zostanie zwichnięte, — mówiła smętnie, oblubienica drugiego kaznodziei, — pierwszy mój opłakiwany mąż, pan Knight, pomocnik pana Snape, był zacny człowiek, ale upornie milczący, co dało powód do sądów, że oprócz rozpoznania słoniny od masła, nie miał o niczem pojęcia. A przecież był to mąż głęboko w Biblji oczytany.

— Niewątpliwie, ciężka ta dola, jeżeli uczuwa się w sobie powołanie, być towarzyszką człowieka, przykładem i gorącem słowem prostującego drogi ludzkości.

— Powiedziałeś Ser bardzo ładnie, być żoną pastora, to zaszczyt; być czynną żoną pastora, — zasługa, lecz być towarzyszką i współpracownicą pastora, — to zbawienie!

— Kto jest twórcą projektu kupienia kościoła? — zapytałem.

— Ja! — zawołała Rachel, — ja, powtórzyła zniżając głos — przy pomocy poczciwego Kuk'a.

Jesteśmy na Church Road pod 171 numerem. Rachel idzie na dół, — a ja obciążony teologicznemi myślami, na górę, wśród ciemności rozświecanej blaskiem wspomnienia oczu Miss Lili.

Tak wygląda niedziela w Londynie.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

V.

W r. 1867 cały świat cywilizowany spieszył do Paryża, gdzie Napoleon III. otworzył wystawę powszechną. Artur Grottger, mimo choroby piersiowej, która w zimie tego samego roku skończyła się jego śmiercią, postanowił wziąć udział w tym wielkim konkursie narodów oświeconych. Najpierw posłał na wystawę swoją „Li-

tuanię“, a wkrótce potem sam do Paryża wyjechał. Zamiarem jego było prowadzić dalej przerwane studja i wykończyć nową kompozycję, która na wystawie ukazała się pod napisem: „Wojna“, albo „Dolina łez.“

Jest to ostatnia praca przedwcześnie zgasłego artysty. Składa się ona z dziesięciu kartonów, złączonych jedną myślą, i jednastej karty tytułowej. Przejdźmy je kolejno, jakeśmy to dotąd z innemi czynili.

W pracowni malarskiej, siedzi artysta w czarnej, fałdzistej sukni. Przed nim wyciągnięte płótno, obok porozrzucane rysunki, w tyle mała bibljoteczka, a nad nią odlew gipsowy. Skromne umeblowanie pokoju, jak skromne życie jego mieszkańca. Za to dusza artysty bogata i potężna. W sercu i głowie powstała właśnie myśl wielka. Już ją chciał przelać na płótno, bo oto kredkę trzyma w prawej ręce, ale jeszcze się zadumał aby ją lepiej w głębi duszy opracować. Na tem obliczu spokojnem, które ku piersiom skłonił, podpierając czoło na ręku, jaśnieje prawdziwa genjalność, a w oczach zamkniętych i nieznacznym ust załomie, widzisz boleść głęboką, jakiej w chwili tworzenia każdy artysta doznaje. Nawet śmiech, mający ludzi bawić, bolem się u niego poczyna. Żałoba jego tem głębsza, ile że kompozycja, która dotąd w błędnych zarysach migotała po wyżynach jego fantazji, ma przedstawić ludzkość w jej największym rozstroju, w walce bratobójczej. Ale tchnienie boże, którem pierś jego przepełniona, nie pozwala mu cofnąć się z raz obranej drogi... Cierpi, jednak z rezygnacją spełni wyższy rozkaz. Kiedy tak marzy, z obłokiem spływa ku niemu anielska postać dziewicy, cicha, łagodna i piękna, jak świat z którego przybywa — z jasną gwiazdą nad czołem. Głosem, którego nie słyszy ucho, lecz który brzmi w duszy, mówi rękę wyciągając:

— Chodź, ja cię powiodę przez dolinę łez!

To Beatrix jego, to jego genjusz... Odkąd przybrała kształty wybitne, artysta wie jakie dzieło stworzyć powinien.

Kompozycja kartonu pierwszego jest niezrównana — jedyna w swoim rodzaju. Głowa marzącego należy do najpiękniejszych zjawisk w dziedzinie sztuki. Równej nie zdarzyło mi się widzieć.

Beatrix wiedzie swego oblubieńca przez miasta i sioła. Wszędzie szczęście, swoboda. Natura jednak, odgadując prędzej przyszłość aniżeli człowiek, wie że w krótce coś strasznego nastąpi. Jako matka kochająca wywiesza na stropie niebieskim jasną kometę świecącą w dzień i w nocy, która ludzi ostrzega przed grożącem im niebezpieczeństwem.

Weszli do wiejskiego ogrodu, gdzie kilka zastali osób. Każda z nich wpatruje się w kometę, widząc w niej złą wróżbę.

— Patrz, rzecze Beatrix, jak biednym jest człowiek... Przed chwilą jeszcze, zanim ten znak na niebie się pojawił, ludzie ci należeli do najszczęśliwszych. Ta w bieli matka pieściła się swojem chłopięciem, obok siedząca babka cieszyła się że wnuczek podrasta, a ta w głębi para młodych ludzi marzyła tylko o swojem połączeniu i przyszłem swojem szczęściu. Złowroga wróżba nagle wszystko zburzyła... Matka niespokojnie wpatruje się w kometę, babka jako starsza i więcej doświadczona z przerażeniem ręce załamuje, a ten młody człowiek zwiesił głowę z bolesnym wyrazem. Smutnych myśli nie strąci mu z czoła nawet głos kochanki, bo przeczucie mówi mu, że ten znak zapowiada wojnę... On młody, więc może z urny fatalny los wyciągnie. Silniejsi każą mu zabijać tych, których nie zna, do których najmniejszej nie ma urazy... I będzie zabijał, dopóki sam nie zginie. Wymarzone szczęście u boku tej, którą kocha, pryska jak bańka mydlana... O biedna ludzkości!

Prawdę przepowiedział znak złowrogi. Wojna! krzyczą dokoła, na wojnę zbierajcie się młodzi!

Oto izba, w której odbywa się losowanie popisowych.

Na środku widzimy stół nakryty, na nim stoi urna fatalna; w niej losy pełne i próżne. Kto wyciągnie próżny wróci do rodziny, kto pełny stanie się niewolnikiem mocniejszych i pójdzie na wojnę.

Idealnie piękny młodzieniec włożył obnażoną rękę do urny. Na jego twarzy maluje się teraz wszystko co mu duszę wypełnia. Żal za wolnością, którą na długo utraci, jeżeli pełny los wyciągnie, spokojna rezygnacja na widok nieubłaganego fatum, którego trudno uniknąć — wreszcie słuszne oburzenie na ludzkość, która dla dogodzenia swoim zachciankom krwawe wyprawia hekatomby. Wzrok ukośny na urnę rzucony zdradza także pewną przebiegłość. Człowiek ma prawo żyć, a więc powinien bronić swego życia. Ilekroć może, broni się otwarcie, gdzie siły jego za słabe używa podstępu. Młodzian nie mogąc oprzeć się potędze, która istnienie jego podporządkowała wymaganiom państwa, spogląda ukosem na losy w urnie pomieszczone — ażali przypadkiem nie odgadnie który z nich próżny...

Komisja wojskowa złożona z czterech mężczyzn znajduje się za jego plecyma.

Ten na pierwszym planie malowniczo siedzący oficer, którego piękny profil tak wyraźnie się rysuje, spogląda na losującego z prawdziwem współczuciem. W takiem samem położeniu znajdował się i on przed laty, a więc wie ile taka chwila kosztuje. Brodaty jego towarzysz, to żołnierz do szpiku i kości; odważny, zuchwały, tyrański. Rozkaz starszych jest dla niego przykazaniem. Zniecierpliwiony, że losowanie nadto się przeciąga, chce zawołać:

— A kończże mazgaju, do stu katów!

Trzeci, wsparty na ręce, widocznie oficer od kirysjerów, poznać to bowiem po srebrzystym hełmie, z uśmiechem, w którym ironja zmięszała się z zadowoleniem, spogląda na dorodnego młodziana. Przez usta na pół rozwarte zdają mu się słowa wyrywać:

— Chciałbyś się może ożenić i na wsi żyć spokojnie, o nic z tego bratku! Pójdziesz z nami, śliczny z ciebie będzie dragon!

W głębi stojący sierżant czeka niecierpliwie z papierem i ołówkiem w rękach, kiedy skończy się długa ceremonja, aby nowego szeregowca wpisać na listę pułkową.

Przy drzwiach żołnierz z bronią w ramieniu, obojętnie wstrzymuje dwie kobiety, które pełne rozpaczy usiłują wejść do środka. To zapewne matka i narzeczona losującego.

Ile głów, tyle tu charakterów, tyle myśli odrębnych, a z pomiędzy wszystkich podnosi się głowa młodziana, jako najważniejsza. Harmonja w kompozycji wzorowa.

Spełniły się losy. Zabrano młódź najdorodniejszą, dano jej broń, wsadzono na konie i kazano ruszyć na nieprzyjaciela. Oto pułk kirysjerów pomyka przez wieś z powiewającym sztandarem. Jeden z żołnierzy wyciąga z pożegnaniem rękę ku kobiecie, która nie mogąc znieść serce rozdzierającego widoku, cofa się w głąb ogrodu z dzieckiem na ręku, pełna głębokiej i niemej boleści. Czy zobaczy jeszcze tego, co jej dziecku dał życie? Mimo smutnej treści, cała ta kompozycja dla swej prostoty i rzadkiej szlachetności, działa na widza prawie upajająco. Artysta unikając gwałtownych efektów i kontrastów, pozwala nam wielbić i prawie kochać tę scenę cichej boleści...

Krwawa walka zawrzała na całej linji. Wśród ciemnej nocy nieprzyjacielskie wojska podstąpiły pod miasto. Huk dział wstrząsa powietrze, kule zapalone lecą jak komety, domy stanęły w płomieniach, kłęby dymu czarnego lecą z wiatrami. Wśród ogólnego zamętu nieprzyjaciel szturm przypuszcza, a tymczasem niewinni mieszkańcy, zabijani nie wiedząc za co i dla czego, uciekają bramą nie zajętą dotąd przez nieprzyjaciela, szukając w polu schronienia i przytułku...

Beatrix ze swoim oblubieńcem znajduje się na pierwszym planie. Ona wsparta o głaz, patrzy na płomienie z niebiańskim spokojem anioła, który wie, że bez woli tego, który ją na ziemię zesłał nic się nie dzieje, a więc i ta ofiara musiała być konieczną, skoro ją Bóg dopuścił. On, jako człowiek słabszy i nie mogąc pojąć tajnych wyroków opatrzności, zsunął się do stóp swego genjusza, a odwróciwszy twarz od krwawych płomieni płacze gorzkim płaczem wzrokiem pytając niebiankę:

— Co znaczy ta straszna hekatomba?

Ostatnie domy spłonęły, trupy zalegają przedmieścia i pola okoliczne. Kogo kula oszczędziła, ten błąka się teraz nie wiedząc co począć i jak żyć. Nieprzyjaciel zniszczył kraj dokoła, a zabrawszy wszelką żywność dla swoich żołnierzy i koni, skazał pozostałych mieszkańców na śmierć głodową...

Oto pod dębem rozłożystym, w pobliżu domu, który jeszcze dogorywa, zebrała się rodzina, złożona z mężczyzny, dwóch kobiet i dwojga dzieci. Mężczyzna wsparty o drzewo groźnie patrzy przed siebie. On złorzeczy nie tylko ludziom ale i Bogu. Bo za cóż cierpią, on, te kobiety i dzieci, cóż oni wszyscy zawinili? Czy taka sprawiedliwość na ziemi i niebie? Potężną jest ta postać, pełna grozy i wyrzutu.

Dzieci owinięte futrem, wyciągają do starszej siostry drobne rączęta, wołając: — Chleba! Ona ze łzą w oku chleb im podaje, bo w koszu obok stojącym, wyniosła z domu nieco żywności, ale co się stanie, gdy jutro chleba zabraknie? Nad tem smutnem pytaniem zastanawia się przedewszystkiem matka, która zapatrzona w twarzyczki dzieci żałośnie głowę na rękę zwiesiła.

Ileż to scen podobnych można spotkać po każdej wojnie?

Napad nocny i zburzenie miasta nie były atoli dziełem bohaterstwa i taktyki wojennej. Silna załoga byłaby szturm odparła, ale między mieszkańcami był zdrajca, który wyniósłszy się cichaczem pobiegł do obozu nieprzyjaciela, aby mu za pieniądze sprzedać swoich braci. Zwycięzca hojnie go nagrodził, a poznawszy w nim zręcznego szpiega poruczył mu drugą misję do spełnienia. Zdrajca schował dokument i poszedł gdzie go zły duch prowadził. Na szczęście jednak żołnierze pokonanej załogi, rozbiwszy namioty o kilka mil od miasta spalonego, postrzegli swego oprawcę. Przeczucie powiedziało im natychmiast że jemu zawdzięczają swoje nieszczęście. Na rozkaz oficerów pochwycili go, a przeszukawszy dobrze znaleźli w głębi buta fatalne pismo. Tę

chwilę uchwycił Grottger na kartonie siódmym.

Kompozycja rozpada się na dwie grupy.

Pierwszą tworzą dwaj żołnierze, którzy przetrząsają szpiega; drugą trzej oficerowie odczytujący pismo znalezione. Żołnierze dość rubasznie obchodzą się ze swoją ofiarą, oficerowie zaś z najżywszym pospiechem i zajęciem odczytują haniebny dokument, gdyż nie tylko szukają dowodu, że ten człowiek w rzeczy samej na śmierć zasłużył, lecz nadto jeszcze chcieliby poznać plany nieprzyjaciela. Na twarzy oficera, który stojąc pośrodku papier w ręku trzyma, pośpiech najlepiej jest uwydatniony.

Zdrajca z przerażeniem wytrzeszczył oczy na grupę oficerów, czekając kiedy z nich najstarszy głowę podniesie i zawoła: — Rozstrzelać tego łotra! — To spojrzenie jest nicią, tak wybornie łączącą obie grupy, że razem stanowią jedną całość. Gdyby zdrajca patrzał gdzieindziej jednolita teraz kompozycja rozpadłaby się na dwie odrębne, skutkiem czego całość byłaby dosyć ciemną.

Beatrix nie patrzy na tę scenę. Ją widzimy odwróconą w głębi. Ten człowiek nie wart jej współczucia; jako zdrajca zasłużył na karę przykładną. (C. d. n.)

POKUTNIK.

Nowélla oryginalna.

Napisał

ALEKSANDER DYM.

I.

„...Piszę tragedję mojego życia. Będę ją nosił pod habitem mnicha, w agonji śmierci popatrzę jeszcze na jej zmięte karty. A chciałbym skonać gdzieś pod zieloną palmą Afryki, niech je uragan zaniesie do chmur, aby żaden człowiek nie czytał mojej spowiedzi.

Jednakże mimo całej greckiej tragiczności strzaskanego mego życia, nie mam odwagi pozować na bohatera. Byłem słaby i nieudolny. Jestem jednym z epigonów wielkiej choroby wieku: marzycielstwa bez pracy, zachwytu bez wiary. Poezja jak Saturn zemściła się na mnie, bo jej nie pojąłem, ale skarykaturowałem...

Dlaczegoż więc piszę? Piszę, bo należę do rzędu ludzi, dla których najwyższą roskoszą jest osnuć się mgłą przeszłości. Jestem ascetą wspomnień. Pszczoła, gdy żądło zatopi, ginie, ja, gdy jątrzę stare blizny, podnoszę ducha. Anachoreta chrześcijański patrzał w niebo gdy katował ciało.

Piszę w wieśniaczej chacie, nad brzegiem Adrjatyckiego morza. Patrzę przez okno na błękitną falę. Błękitna fala prosi się, rozgarnia dno głębokie. Możeby spocząć już w chłodnym grobie i o złote muszle rozbić boleść z wyrzutami sumienia?... Nie! nigdy nie uwierzę w heroizm samobójstwa.

Wschodzi słońce. Tam za górami i wodami leży moja ojczyzna. A na zachodzie płynie jeszcze chmura nocy; zdaje mi się, że to w fantastycznych rysach podnoszą się wierzchołki Watykanu.

Między tem słońcem a tą chmurą — życie moje.

Nazywam się Adam i jestem dzieckiem miłości. Jakieś szczególne fatum cięży na dzieciach grzechu. Pierwszy krzyk nowego życia był zabójcą; matka moja umarła — zostałem sierotą. Z rannej młodości pamiętam pierwsze bolesne dyssonanse życia. Wiem, że byłem w gronie cudzych dzieci. Wiem, że stroniły odemnie. Zdawało mi się że jestem zadżumionym — płakałem.

Widząc jak rozpromieniona matka całowała swoje dziecko, czytając w jej twarzy dobroć bez granic — pytałem sam siebie: dlaczegoż ona mnie nie całuje? Przystąpiłem tedy do niej i powiedziałem: Matko! Ale ta kobieta odtrąciła mnie. Wyszedłem więc smutny do ogrodu. Uśmiech kobiety, całującej dziecko, został mi jednak w pamięci. Wziąłem tedy węgiel i zacząłem na ścianie domu robić znaki. Chciałem w wyobraźni odwzorować ten uśmiech, chciałem go wiecznie mieć przed sobą....

Potem nic już nie pamiętam. Musiałem być chory. Byłem rzeczywiście długo chory. Oddano mnie do szpitala. Pomnę tylko, że jakiś mężczyzna zaglądał mi zawsze w oczy, a po wyzdrowieniu wziął do siebie. Był to lekarz.

U lekarza nie byłem długo. Widząc, z jakiem uniesieniem patrzę na obrazy, z jakiem zamiłowaniem rysuję ręką dziecięcą ich kontury na świstkach, oddał mię do malarza.

Tarłem więc kilka lat farby, widząc ze zdumieniem, jak z tych farb rosły postacie. W poczciwym malarzu kościelnych obrazów widziałem czarodzieja. Postanowiłem zostać takim czarodziejem.

Odtąd zaczęła mnie palić żądza sławy.

Tak mijały lata. Mój malarz dawno już umarł — zostałem sam. Wziąłem się z zapałem do pracy i był to najpiękniejszy ustęp mojego życia, gdy zadumany nad Faustem, rozmarzony nad Madonną, prześniłem cały różowy sen przyszłości. Ale już wtedy nazywali mię ludzie fantastą; nie zważając na ich szepty rozmawiałem na ciemnem poddaszu z duchem moim tak dumnie i swobodnie, jak Manfred pośród szerokich gór Szkocji...

Ale musiałem pracować na chleb, pierworodnym bowiem grzechem moim było ubóstwo. Udzielałem więc lekcji rysunków w jednym z mniejszych pensjonatów stolicy. Z jakiemże uniesieniem rozwijałem przed młodemi sercami ideały piękna! Nie byłem dla nich nauczycielem rysunków, ale kapłanem sztuki, kaznodzieją poezji.

Najwięcej zapału okazywała blada panienka, córka dzierżawcy na karpackiem podgórzu. Drżącemi usty chwytała każde słowo. Zdawało się, że moja lekcja to tylko rozmowa z Heleną...

Minęło pół roku. Byłem niezadowolony z siebie. Chciałem coś stworzyć, a sam nie wiedziałem co. Chciałem wyczarować nowe bóstwa poezji, a zabrakło mi pierwszych warunków wszelkiej wielkości: wytrwałości i pracy. Bez nich genjusz, potężny władzca ducha, ginie, pożarty własnym ogniem, jak Herakles, bohater ziemskiej siły. Zginąłem więc...

Przyjaciel mój, starszy wiekiem, znakomity artysta, radził szukać pierwszych świętości sztuki na ołtarzu przyrody.

Ale cóż mi mogła dać przyroda z bukietem róż i nocą księżycową! Zapatrzony w wspaniałe kartony Kaulbacha, którego sława właśnie wtedy rozbrzmiewała, pragnąłem wielkich myśli, wielkich ludzi, wielkich konturów!

Jak dziecko płakałem na poddaszu z żalu, iż nie mogę odwiedzić ziemi włoskiej, błogosławionej siedziby sztuki.

Ale ja muszę!

Byłem więc rok cały Spartaninem. Pracowałem z poświęceniem—cierpiałem głód z uśmiechem — ale za rok miałem już tyle, że mogłem objąć wzrokiem grobowce Rzymu i marzyć u stóp olbrzymów Michała-Anioła.

Poszedłem do pensjonatu, aby pożegnać uczennice. Byłem w wzniosłym nastroju ducha. Mówiłem gorąco o tej ziemi, którą zobaczę. Wychodzę.

Za sobą słyszę drżący głos dziewczęcia:

— Czy zapomnisz pan o nas?

Poznałem Helenę.

— Czy wrócisz pan?

— Wrócę.

— Ach, to dobrze! — zawołało dziewczę, a w jej oczach łzy zabłysły.

Widziałem łzy Heleny. Z potwornym egoizmem powiedziałem sobie, że ona mnie kocha. Byłem dumny. Na chwilę żal mi się nawet zrobiło jej smętnej miłości bez nadziei, lecz genjusz nie na to rodzi się, aby kochać, lecz żeby jego wielbiono. Bluźnierstwo to zemściło się na mnie później w sposób straszliwy, zabijający...

Pożegnawszy ziemię ojczystą zwróciłem się na południe. Jadąc, miałem serce wielkie i oczy promienne. Czasami tylko zdawało się mi, że z za gór dolatuje mnie poważny głos przyjaciela:

— Pamiętaj, że marzycielstwo i zachwyt bez uczynków to miedź brzęcząca!

Czasami rysowała się także w pamięci smutna postać Heleny — ale mary te odtrącałem, bo spieszno mi było do Rzymu, aby na strzaskanych kolumnach i grobowcach Cezarów rozpocząć nowe, wielkie życie.

Pierwsze miesiące mego pobytu w wiecznem mieście były jedną fantazją. Zbliżała się wystawa obrazów. Każde głośne imię było dla mnie żądłem. Wziąłem paletę.

Chcąc wyobrazić poezję w postaci dziewicy, pracowałem z zapałem — skończyłem.

Nad obrazem zasiadła komisja wystawowa. Orzekła, że poezja moja ma twarz spaloną namiętnościami i równocześnie łzami oblaną, że jest na pół szatanem a na pół Magdaleną. Powiedziała, że nie mam poczucia prawdziwego piękna, a przedewszystkiem szkoły. Obraz mój odrzucono — rozdarłem obraz.

Byłem złamany. Mimo to poszedłem do znanego maestra, aby na żądanie komisji nabyć szkoły. Maestro kazał mi skopjować stary, religijny obraz. Uczyniłem to. Potem kazał mi kopjować drugi, mówiąc, że ta czynność trwać będzie rok cały. Wypatrzyłem się na niego i wyszedłem oburzony.

Postanowiłem więc malować obraz na nowo. Wystawię go potem u okna mego mieszkania. Poszedłem szukać modelu.

Przez Corso jechała kobieta zachwycającej piękności. Zapytałem Rzymianina, kto ona.

— Księżniczka T...

Dowiaduję się gdzie mieszka — idę do niej.

— Księżniczko, pragnę cię odmalować.

— Nazwisko pańskie?

— Adam Czerski.

— Przepraszam pana, ale mnie malują tylko mistrze sławy europejskiej.

Tego było mi nadto. Przyszedłszy do domu, rozbiłem paletę i farby wyrzuciłem. Oto pierwszy grzech mojego życia. Żyć bez sztuki nie mogłem, ale nie znałem wielkiej, poważnej poezji pracy i ofiary. Tu początek mego nieszczęścia.

Zostałem próżniakiem. Zasoby topiły się w szalonym wirze uciech — zacząłem tedy zazdrościć ludziom bogatym.

A moi Rafaele zasmuceni pytali ze ścian wspaniałych: Co się zrobiło z ciebie, kapłanie sztuki? — A kapłan sztuki poszedł do tawerny, i tam w gronie podobnych genjuszów zalewał robaka sumienia i śnił pijaną fantazję o złoconych ekwipażach i marmurowych pałacach....

Jednej takiej nocy narkotycznej poznałem Nicola. Widziałem tego młodzieńca jak z roziskrzonem okiem, z rozwianym włosem, w gronie robotników, brawów, mówił o wielkiej przyszłości ojczyzny. A było to w owym czasie, kiedy dzisiejsza Italja zjednoczona była jeszcze marzeniem. Na całym półwyspie paliła mózgi jedna myśl, całe Włochy były jednym wulkanem.

Przystąpiłem do Nicola mówiąc: „Jam twój!“ Zapał mnie ogarnął. Nicolo wahał się — rzuciłem mu się na szyję. Nicolo podał mi rękę. Należałem do spisku. Poświęciłem sprawie całego siebie. Atmosfera, w którą wszedłem, oddziaływała na mego ducha zbawiennie. Zdawało mi się nawet, że wrócę do palety, aby malować boleść mojej własnej ojczyzny, zardzewiałe miecze ojców i synów nierozbite kajdany...

Widywaliśmy się w najludniejszych miejscach, aby zmylić szpiegów. Na Corso lub w kościołach.

Stoję właśnie w kościele Św. Piotra, oczekując hasła, które mi Nicolo przyniesie.

Pod jedną ze stu kolumn widzę kobietę, klęczącą przed obrazem Chrystusa. Była w czarnej sukni i modliła się gorąco. Promienie słońca łamiące się u góry, oblewają jej postać jakiemś mistycznem światłem.

Stoję tuż przy ołtarzu. Nie daję unieść się prądowi tłumu i nie odrywam od niej oka, bojąc się, aby promienie słońca nie uniosły jej tam, dokąd rozanielona w modlitwie wzdycha. Ta modlitwa przemówiła do mego serca — uczułem niewysłowione rozrzewnienie — zacząłem marzyć. Przybliżam się, czuję jej oddech, zdaje się, że usłyszę spowiedź tej kobiety... Nagle zwróciła twarz ku mnie i popatrzała pełnem swojem okiem. Tego długiego, roziskrzonego wzroku nie mogłem wytrzymać... opuściłem więc oczy jak przed blaskiem słońca.

Zbliżył się Nicolo.

— O północy... u księcia — szepnął.

— Hasło?

— Brutus!

Znikł w tłumie.

Na ustach nieznajomej błysł lekki uśmiech. Wstała chcąc odejść.

Gdy klęczała, byłem jej wielbicielem, gdy się podniosła, zostałem jej niewolnikiem.

Miała kształty greckiego posągu — koronę ze wspaniałych warkoczy, a gdy szła myślałeś że to królowa dumna, majestatyczna.

Wybiegłem za nią, roztrącając ludzi. Znikła.

Ta kobieta utkwiła w mojem sercu. Ta kobieta zabiła mi serce — zniszczyła życie. Jak greckie fatum stanęła mi w drodze, porwała w zaczarowane koło swojej piękności, odebrała rozum, wiarę, zapał — a za to wszystko zostawiła na mem czole jedno palące piętno spodlenia!....

Dziś, kiedy patrzę na moje rany z zimnym spokojem anatoma, jestem przekonany, że musiało być tak a nie inaczej.

Są bowiem dwa rodzaje kobiet.

Kobieta-anioł z ogniem wiary w źrenicy, z tchnieniem miłości na ustach, z pogodą nadziei na czole, podniesie cię, jeżeliś upadł, zbuduje, jeżeliś zwątpił, wdziękiem prostoty i czystości zrobi z ciebie bohatera.

Kobieta-szatan potęgą zmysłowości, trucizną roskoszy skruszy pancerz twego charakteru, połamie skrzydła twego ducha, nieprzezwyciężona, porywająca, szydzi z ciebie, z genjusza robi idjotę, a z olbrzyma karła.

Pierwsza jest bohaterką cierpienia, dzieli z tobą nędzę, kajdany, uszczęśliwiona jeżeli może z siebie zrobić ofiarę.

Druga, wyniosła lwica, zimna, wiarołomna, żąda ofiary od ciebie, ofiary z imienia, ze sławy, ze wszystkiego, a potem przesycona, samolubna, odtrąca cię, a na jęk przerażenia i rozpaczy odpowiada śmiechem wyuzdanym...

* * *

Nie znalazłem jej. Przebiegłem Corso, przebiegłem kilkanaście ulic, nie jedna czarna suknia zwiodła mnie, kazała pędzić za sobą, ale nieznajomej z kościoła nie widziałem.

Odurzony jej urokiem, znękany długą gonitwą, podążyłem wreszcie do księcia.

Kto jest ten książe?

Książe Hieronim jest naczelnikiem spiskowców. Jego pałac wielki, ponury, daleko za miastem, ma wchód od strony Tybru przez cały labirynt ogrodów.

Noc ciemna. Idę ogrodami, przychodzę do olbrzymiej bramy, mówię: „Brutus!“ puszczają mnie. Idę dalej długiemi korytarzami, wreszcie staję przed jakimś posągiem, powtarzam straży hasło, posąg rozdziela się, stąpam po schodach do piwnicy.

Chłód grobu. Widzę mnóstwo postaci, milczących, zamyślonych, w szerokich płaszczach.

W około dużego stołu siedzą członkowie wielkiej karbonarji. Chcą oni wyswobodzić Rzym, chcą roztrzaskać żelazne karjatydy niewoli, mieczem, sztyletem, pożogą, czemkolwiek.

W pośrodku książe Hieronim, patrycjusz z pochodzenia, republikanin z przekonania, młody wspaniały, pełen wielkich pomysłów.

Dalej adwokat siwowłosy, ponury, zimny.

W głębi więcej ich, różnych stanem, majątkiem, wykształceniem, ale równych miłością dla ojczyzny i zapałem do ofiary.

Pomiędzy nimi wyniosła postać Nicola, natchnionego Jana Chrzciciela tych apostołów wolności.

Po kolei zdawano sprawę z czynności, ważono gorące hymny Nicola z zimnemi cyframi adwokata.

Wreszcie zapanowała cisza, a Hieronim, Medyceusz ruchu, przemówił:

— Bracia! nie ma co długo czekać. Ruch objął wszystkie warstwy, cały Rzym wre. Od dziś za tydzień wielkie corso. Słyszycie? Macie tydzień czasu. Za ten tydzień zbawimy Rzym! Niech każdy z nas rzuci iskrę, a będzie płomień, wielki, pożerający! Broni w tej piwnicy mamy dosyć, trzeba tylko więcej ludzi. Szukajmy ludzi! Zgromadźmy ich! W nocy przed wielkim dniem zgromadźmy ich tu! Przysięgnijmy!

— Przysięgamy!

Z twarzy Nicola biły płomienie. Mój duch rósł, dostawał skrzydeł. Widziałem wielkich ludzi miłości i poświęcenia. Uścisnąłem Nicola.

— A hasło? — zapytaliśmy.

— Hasłem na tę noc będzie: „Rienzi“ — odrzekł książe.

— Rienzi! — szepnął Nicolo, a oczy zaiskrzyły się młodzieńcowi.

Rozeszliśmy się po dwóch, olbrzymia brama zawarła się za nami...

II.

Miłość moja nie ma granic, Miłość moja nie jest uczuciem, lecz szaleństwem. Wiem o tem, ale jej nie pokonam, nawet nie chcę. Bo cóż ja bez niej? Ona przeszła w moje jestestwo, tętni we krwi mojej, ona jest dla mnie wszystkiem, ja bez niej niczem—zostałem bałwochwalcą, którego najwyższą roskoszą, najszczytniejszą religją, patrzeć w jej oczy, słuchać jej głosu, czołgać się u jej stóp....

Znam ją. Nazajutrz ujrzałem ją w tym samym kościele. Kiedy wyszła przybliżyłem się do niej. Szedłem krok w krok za nią.... Odwróciła się, pytając ostro:

— Czego mię pan prześladujesz?

Nie odpowiedziałem słowa. Jednakże nie wróciłem się, szedłem dalej. Płomiennym wzrokiem wpiłem się w jej postać. Nic mnie od niej nie oderwie....

Chodzę z nią już od tygodnia. Ona u mego ramienia.... Błądzimy po ruinach, siadamy na mchem zarosłych rumowiskach teatrów pogańskich — ja jej mówię o mojej miłości, a ona uśmiecha się czarująco — bosko. Opowiadam prostą historję mego życia, serdecznie jak dziecko, szczerze jak pokutnik, a ona snuje legendę swych cierpień, widzę łzy na jej rzęsach, słyszę bicie jej serca.... Chociaż niema jej przy mnie, widzę ją, śnię o niej. Śnić o czem innem to świętokradztwo!

Kto ona?

Nie wiem. Dla mnie dosyć, że jest, dla mnie dosyć, że mnie słucha, że ze mną mówi. Tajemniczość jej, ukoronowana wieńcem cierpień, dodaje jej niewysłowionego czaru. Targnąć się w tę świątynię byłoby grzechem.

Widziałem ją jak jechała w błyszczącym powozie, pyszna, okazała. Pobiegłem za nią. Powóz znikł. Wróciłem zły; dziwna gorączka paliła mi żyły.

Ale gdy wieczorem zeszliśmy się w Coloseum, była tak serdeczną, tyle słodyczy biło z jej wejrzenia, że oburzyłem się na siebie, iż mogłem na chwilę zwątpić o niej.

Powiedziałem jej tedy, że może wkrótce wybije godzina, w której ujrzy mnie na tryumfalnym wozie z wawrzynem na czole.... Myślałem o rewolucji.... Ta rewolucja wybuchnie pojutrze. Pierś mi rosła.

— Odprowadź mnie do domu — szepnęła.

To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Szalałem z radości.

Idziemy. W jednej z najwspanialszych dzielnic wiecznego miasta stoi w zieleni drzew niewielka willa. Pożegnała mnie — weszła.

Ale ja nie mogąc odejść, stałem na miejscu przykuty. Pragnąłem oddychać powietrzem, którem ona oddycha.

Oparłem się o słup. Wytężywszy wzrok, przekonałem się, że we wszystkich oknach ciemno. — Słucham każdego szelestu w wawrzynach.

Czemu nie wyjdziesz ty, Fornaryno moja, z martwych podwojów czemu nie wyjdziesz do mnie?

Wychodzisz... krew zalewa mi serce....

Ach! to nie ty, to wiatr trzęsie białą kotarą u okna na balkonie.

A była to noc balsamiczna, porywająca. Na błękicie gwiazdy — w dali za Tybrem potrzaskane kolumny wielkiej przeszłości—w około woń kwiatów.

A pośród tej cudnej rzymskiej nocy, sam nie wiesz, jak rośnie fantazja, jak tworzy żądze, których imienia nie znasz....

Z marmurowej twojej sali
Znijdź na rzymskiej nocy łono —
Mia cara!
Ach! jak rzymska noc się żali —
Zwróć twarz twoją zapłonioną
Mia cara!
Patrz na gwiazdy, patrz na cienie,
Czytaj wszędzie uwielbienie
Mia cara!

Wyszła.

Odurzony, drżący, przedarłem się przez mur, mózg paliły mi płomienie — myślałem, że jestem we śnie....

Ale nie, to nie sen! To ona stoi przedemną, przerażona, groźna.

— Odejdź natychmiast!

Wydała mi się wyższą, niby białym greckim posągiem, nieubłaganą boginią kary — ale na najsroższe kary pójdę — za jedną chwilę spędzoną przy jej boku, na śmierć za jeden płomienny całus, aby jeszcze w chłodnym grobie śnić o tej jednej minucie szczęścia....

I snać musiała czytać na mojej twarzy, musiała uwierzyć we mnie, bo dokoła jej ust błysł złoty uśmiech, bo z niewymowną słodyczą podała mi rękę szepcąc:

— Szaleńcze!

Siedliśmy w altanie. Nie mogłem zrazu słów znaleźć. Śród uroczystej chwili byłem sam jeden z tą, którą tak ubóstwiałem.

Przemówiła. O czem-że mówiła? O piękności fresków watykańskich.

Ale czyż mogłem myśleć o freskach, o martwych twarzach aniołów! Czuję, że nie jestem duchem, że mam ciało rozpłomienione, gardzę duchem, chcę roskoszy wielkiej, niedoznanej dotąd, bez końca....

W jednem mgnieniu oka wyłoniła się ze złotej opony gąsienica zmysłowości — a obok mnie siedziała ona, widziałem jej usta rozpłomienione, słyszałem namiętne bicie serca, aromat wspaniałych warkoczów ogarnął mnie, — odurzył.

— Słuchaj! — mówiła a jej oczy dziwnie się zaiskrzyły: — Jeżeli zasiądziesz na Kapitolu z drugimi bohaterami, czy przypomnisz sobie twoją Fornarynę? Adamie! — dodała po chwili — ja muszę wiedzieć, gdzie się jutro zejdą spiskowcy.

Popatrzałem na nią z niedowierzeniem.

— Adamie! ja mam wielką misję, jestem z wami, zbawię was!

— Nie mogę! Przysięga... odpowiedziałem uroczyście.

— Nie masz do mnie zaufania? Nie jesteś zatem godnym mojej miłości!

Wstała. Przestąpiła próg altany.

Księżyc wypłynął na strop niebios i oblał roskosznem światłem majestatyczne kształty tej kobiety.

Waham się. Czuję, że mi w żyłach cięży ołów.

Z gąsienicy wychylił motyl złoconą główkę ale skrył ją na widok rzeczywistości....

— Nie odchodź! szepnąłem drżącym głosem.

Wstrzymała się półtwarzą do mnie zwrócona. Zdawało mi się, że stoję na żarzących węglach.

— U księcia Hieronima, w pałacu za miastem — jęknąłem.

— A hasło?

— Nie żądaj!

— Ty musisz je powiedzieć! — zawołała głosem demonicznym. Objęła mnie ramionami białemi. Widziałem, że nozdrza jej rozwarły się jak u lwicy, że oczy dziko zapałały — że oddychała szeroko, namiętnie.... Uczułem krew strumieniem bijącą mi do serca. Byłem w obłąkaniu....

— Rienzi!

Stało się!

Lecz za chwilę pamięć moja zgasła, i widziałem tylko ją — nie było gwiazd tylko jej oczy — nie było liści kwiatów a tylko jej włosy — nic, nic, tylko ja z nią....

— Na wielkim dniu oswobodzenia ujrzysz mnie Adamie! — mówiła głosem podniesionym. — Nie chcecie przyjąć ofiary kobiety i bluźnicie jej miłości dla ojczyzny. Na tym wielkim dniu będę Judytą!

Żałowałem w duszy, żem drugi raz zwątpił o niej. Nazajutrz byłem uśmiechnięty, wesoły. Rzuciłem się w tłum. Rzym cały gorzał. Wiedziano, że wkrótce z iskry wybuchnie płomień. Po ulicach snuli się ludzie z poważnemi twarzami.

Zapadła noc. U księcia Hieronima okazały bal. Cały fronton pałacu oświetlony. Przyjeżdżają duki i kardynałowie, bo książe Hieronim wielki pan, ulubieniec rządu, zawołany dworak. To też książe z niewidzianą wytwornością przyjmuje dostojnych gości. Jaki przepych! Jaki smak! Od salonu do salonu krąży jeden toast, uśmiechnięty, słodkousty: „Niech żyje Hieronim!"

A wspaniały Hieronim ledwie że pokaże się w salonie, to już zniknie. Ale oni wiedzą, że książe sam wszystkiem rządzi, aby każdemu z gości było wesoło, aby panom nie brakło wesołej gawędy i wina a damom bukietów i tancerzy.

A tymczasem książe od czasu do czasu zagląda do katakomby, co tam robi wiara, jaki ptak krąży, czy puszczyk zwątpienia, czy orzeł odwagi.

Stoją spiskowcy w długiej piwnicy, żaden głos nie przebija ciężkiego sklepienia, pewni więc siebie, pogodnie patrzą w dzień jutrzejszy.

Nicolo z uśmiechem wróży zwycięstwo, Nicolo ze łzą prosi, aby wytrwać do ostatniej krwi kropli.

Całują się wszyscy, snać chcą wzajemnego błogosławieństwa, przystępując po raz setny może do krwawego chrztu wielkiej idei.

Schodzą się towarzysze broni, aż serce Nicole skacze. Katakomba do samego świtu będzie otwartą, bo do jutra każdy robotnik musi mieć oręż. Jutro naród odpowie krwawą vendettą za wiekowe krzywdy, męczenników kajdany rozłamie, potarga zbutwiałe pergaminy. Jutro!

No cóż, Nicolo, ciesz się, znowu pukają.

Straż u posągu, strzegącego podziemia, pyta o hasło.

— Rienzi!

Otwiera się tajna maszynerja — do piwnicy wchodzą w długie płaszcze okutani, z bronią pod płaszczami... żołnierze!

Na co mam ranić zbolałe serce opisem walki, która w podziemiu zawrzała.... Padały trupy. Jak zwierz raniony rzuciłem się pod miecze, blady, straszny, ale miecze omijały moją głowę. Tymczasem zdobył sobie przełom cały legjon żołnierzy — walka była daremną.

Zakuto nas w kajdany. Ponuro, bez słowa skargi, podawali spiskowcy ręce. Moje drżały — żelazo paliło mi żyły. Powieziono nas na prefekturę.

Po drodze Nicolo wyprostował się jak trybun i głośno straszliwą klątwę na zdrajcę rzucił.

Na prefekturze kazano nam stanąć w długim szeregu. Prefekt, zapieniony, złowrogi, miotał groźbami.

Nie widziałem nic przed sobą, w uszach tylko brzmiało mi wielkie słowo, pełne dantejskiej grozy:

— Zdrajca!

Jak ze snu zbudzony wypatrzyłem się na prefekta, gdy dotykając mnie palcem, pytał jakąś osobę:

— Czy ten?

— Ten — odpowiedział głos... mojej Fornaryny, stojącej obok prefekta.

Zemdlałem.

Wrócono mi przytomność. Usłyszałem suchy wyrok prefekta:

— Jesteś pan wolny, tylko musisz natychmiast Rzym opuścić.

Jak zwierz raniony wybiegłem z biura, a za mną pędził niemy wzrok Nicola, ponury, straszny, pełen zabijającej pogardy.

W ślad za nim leciał uśmiech włoszki, szyderski, lodowy.

Pędziłem dalej wśród ciemności; za murami Rzymu padłem zmęczony, blady, zniszczony.

Tam w moczarach przebyłem trzy dni i trzy nocy, z głodu mdlały żyły, żółta malaria trzęsła mną.

I tak w gorączce śniłem o strzaskanem życiu.

I widziałem sen mój wieszczy o Faustach i Madonnach i bladą Helenę, gdy ze łzą w oku pytała czy powrócę. I widziałem willę i przyśniła mi się noc balsamiczna i płomienny pierwszy całus wśród tej nocy!

Patrzę, w dali coś bieleje, a chora fantazja mówi: To ona! — Więc pędzę z rykiem zemsty, a to bielał szkielet zwierzęcia....

Dalej, o dalej!

Zapadłem wreszcie w stan apatji, martwej, spokojnej. Zdawało mi się, że odtąd wszystko zniosę bez bolu i skargi.

Włóczyłem się po całych Włoszech. Sam dla siebie byłem jakby człowiekiem, którego dawniej znałem. Na świecie nic mnie obejść nie mogło, najmniej zaś ja sam....

Głęboko w Abruzzach przyjęto mnie do klasztoru. Rok prawie żyłem tam jak roślina. Później kazano mi być kwestarzem. Jestem nim obecnie — będę nim do zgonu.

Po roku ciężkiej walki, owianej zimnym spokojem stłumionego wulkanu, pogodziłem się z Bogiem i z sobą.

Gdzie wchodzę, w pałace możnych czy w lepianki nędzarzy, wypełniam misję moją i pokutę. Jak ciężka pokuta za jeden grzech życia!...

Przestawszy żyć dla siebie, chciałbym przynajmniej być spokojnym jak to morze, na które patrzę przezokno.

Słońce zachodzi. Z dali płynie okręt, rozlega się wesoła pieśń majtków. Błogosławię wam, wracacie do ojczyzny!

Dokądże ja skieruję moje kroki?

Pójdę na północ, wrócę i ja do ojczyzny. Tam dokonam pokuty....

Hej gwiazdy na północ!"

Koniec.

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Obydwa oddziały wróciły nazad, a my postąpiwszy o świcie na miejsce tego boju, znaleźliśmy 16 koni zabitych i tyleż prawie rannych, co się wałęsały i mogły być zabrane, kilka trupów tylko, bo ranni co mogli jeszcze chodzić gdzieś się pokryli. Naturalnie zabrano całe umontowanie bardzo dla młodych pułków pożądane. Po krótkim wypoczynku pożegnałem gen. Tomickiego i z długim nosem, po nieudanej wyprawie pokłusowałem do mego Generała. Zastałem go w Kałuszynie. Już wiedział o całym wypadku od Fredry, który mając krótszą i lepszą drogę znacznie mnie uprzedził.

Zastałem Generała w najgorszym humorze; wysłuchał mego raportu z niecierpliwością, mrucząc pod nosem francuskie imprekacje na Kamińskiego, z którego łaski 2 dywizje niepotrzebnie sfatygował, a siebie skompromitował.

Po południu, za Generałem, który odjeżdżając pocztą dał rozkaz ażeby obie dywizje na dawne stanowisko pod Brzezinami się skoncentrowały, puściliśmy się z Henrykiem Fredrem stępo po szosie do Brzezin. Na szosie co parę set kroków leżał kościotrup koński dojadany przez psy i kruki; bo tą drogą od wiosny 13 razy to my, to Moskale przechodzili w ciągłych potyczkach i bitwach.

Zaraz po przybyciu do głównej kwatery, udaliśmy się do Generała z prośbą o urlop na 48 godzin do Warszawy, żeby się trochę oporządzić, obczyścić ciało i wypocząć. Umiński kazał nam wydać natychmiast urlopy, zatrzymał nas na wieczerzy u siebie, klnąc ciągle niepowodzenie tego ruchu, po którym spodziewał się świetnych rezultatów.

Mieliśmy obadwa dla siebie mały rozbity namiocik, w nim pokładliśmy się na wiązce słomy, dawszy rozkaz żeby nas przed wschodem słońca zbudzono. Zostawiliśmy nasze powodowe konie i pakunki w obozie, a sami równo ze wschodem słońca ruszyliśmy do Warszawy.

Zajechawszy do miasta, zameldowawszy się w Placu, ja udałem się do Hotelu Niemieckiego, a Fredro do brata swego, Maksymiljana, na Miodową ulicę.

Zaledwie oddałem konia służącemu oberży, i siodło moje na górę przyniesiono, przy którem był mantelzak, a w nim całe ubranie, buty i bielizny trochę, nie rozpakowawszy jeszcze posłałem po szewca, żeby mi buty co miałem na sobie na jutro podszył, i po krawca żeby mi ubranie wyreperował; oddawszy jedno i drugie położyłem się na łóżko, dokąd mi śniadanie przyniesiono i zadrzymałem. Przebudziwszy się chciałem się wziąć do toalety; przyszedł golarz co mnie ostrzygł i ogolił, a umywszy się doskonale zacząłem się brać do mantelzaka, żeby przyzwoicie wyjść na miasto. Ale, o zgrozo! lewa część mantelzaka zaczyna kawałeczkami w rękach mi zostawać, spieszę się rozrywając i z rozpaczą widzę, że cała moja garderoba nie wyłączając chustek do nosa całkiem chlorem jest zjedzona; bo zapomniałem że z wiosną jak cholera u nas grasować zaczęła, zalecano nam mieć wapno chlorkowe do wykadzania kwater; miałem go pół funta w pęcherzu i nie wiem jakim sposobem dostał się do mego rezerwowego mantelzaka, któregom nigdy nie miał potrzeby odpinać. Chlor przegryzł pęcherz i moje biedne efekta. Desperacja — ani się z kwatery ruszyć bo *à la lettre* był ze mnie prawdziwy hiszpański *Descamisados*.

Zadzwoniłem gwałtownie, garson oberży przyleciał, pokazałem mu mój zniszczony mantelzak, z czego się infamis skrycie ale serdecznie naśmiał, zapytałem czy w hotelu jest praczka, która by mi za 2 godziny wyprała koszulę i chustkę do nosa, na potakującą odpowiedź zdjąłem koszulę i oddałem mu zalecając pospiech. Zostałem więc w kostjumie Adama w Raju przed grzechem, a okrywszy nagość mego ciała płaszczem, znowu w największej pasji położyłem się.

Raptem otwierają się drzwi z łoskotem, i wpada młody oficer piechoty Piotrowski, znany mi trochę, bo trzech jego braci razem ze mną służyło w pułku lubelskiej jazdy. W każdym innym razie bytność jego nie bardzo by mnie była zadowoliła, ale w obecnej pozycji, rad byłem że ten birbant do mnie przyszedł. Opowiedziałem mu moje smutne położenie, nad którem pękał ze śmiechu, i zakląłem na poświęcenie się koleżeńskie żeby mi pomógł, co też z chęcią przyobiecał. Najważniejszą rzeczą były buty, których rzadko gotowych na moją nogę znaleźć mi się udawało, oraz żeby wstąpił do krawca i przyspieszył wyrestaurowanie ubrania. Poczciwy roztrzepaniec, wziął but pozostały od zniszczenia chlorem z sobą i nie żenując się, poleciał z nim przez miasto; przez ten czas wyczyściłem sobie pałasz, ładownicę i mundur huzarski, a uzbroiwszy się w cierpliwość (która w tamtym czasie nie była jeszcze tak wydoskonaloną jak teraz, po trzydziestu kilku latach ciężkiego doświadczenia); czekałem ze stoiczną rezygnacją, nie dowierzając bardzo akuratności mego półgłówka kolegi; godziny mijały, już tylko 40 zostawało do końca urlopu, a mój Generał opóźniania się nie lubił. Na końcu przyleciał oczekiwany Piotrowski, a za nim czeladnik szewca z furą butów, które zaraz wziąłem do mierzenia. Długo trwała operacja nim sobie jedną parę dobrałem, szewc wziął je jeszcze do przybicia ostróg, a nim wrócił, krawiec odniósł mi robotę, i praczka koszulę przepłókaną. Napiliśmy się w stancji jeszcze z kolegą wódki, ja ubierałem się, a przez ten czas Piotrowski bawił mnie opowiadaniem różnych skandalów i komerażów warszawskich. Wyszedłszy wzięliśmy dorożkę, i udaliśmy się na samprzód do łazienek Kurtza, a wykąpawszy się należycie, pojechaliśmy na obiad do Kontego, na który Piotrowskiego zaprosiłem. Jedliśmy jak wilki, a pili jak smoki....

(D. c. n.)

W przystani.

Sróż się, zimo!... Próżne szały,
Ja groźb twoich się nie trwożę!..
Widzę — rzuca chłodne łoże
Genjusz zimy — olbrzym biały;
Broda jego siwa szronem,
Djadem z lodu brylantowy,
Wielkiem okiem półzbudzonem
Sieje pomrok biegunowy,...
Na to hasło aniołowie
Rozbijają śniegu puchy:
Pościel ziemi na sen głuchy —
Kraczą wrony po dąbrowie;
Z wędrującem ptactwem w zmowie
Chmury wiążą się w łańcuchy...

Sróż się, zimo!... — Zachód wstaje
Jak krew świeża purpurowy,
Od gór dyszy wiatr surowy,
Szkieletami sterczą gaje,
Mgła chłodnemi usty chucha
Na okienek szkła przezrocze,
Czai się na sosn warkocze
Rozczochrana zawierucha;
Niebo szare — ziemia głucha,
W koło śmierć już i zamrocze...

Sróż się, zimo!... Już ja pewny!
W domku mego mur z modrzewiu
Orszak prządek zwiodę śpiewny,
I rozdmucham skrę w zarzewiu.
Z trzaskiem rzeźwy ogień buchnie
Umaluje ciche ściany
I blask rzuci pozłacany
Na twarz mojej białej druchnie;
Złote iskry poczną tany...
W czarną czeluść mknąc leciuchnie.

Przed ogniskiem pies domowy
Wierną głowę złoży cicho,
Skrę wyrzuci z ognia licho,
Za okienkiem hukną sowy;
W drzewie duszka się pożali,
Świerszcz ozowie się w szczelinie;
Nieskończony wieczór płynie,
Jak zaklęta łódź po fali,
A godzina po godzinie
Cichem szczęściem Boga chwali!..

Noc czem głębsza — w duszy jaśniej!...
Nowe dzieje, stare baśni,
Dwoje dziatek na kobiercu,
Dwoje białych rąk przy sercu;
A przez ścianę prządek nuta,
Jak nić... długa... rozesnuta...
Czarna dola idzie mimo...
Jak mi cicho... Sróż się, zimo!...

1874. *Wł. Ordon.*

POGADANKI.

VI.

Gdy trudno o inny przedmiot, dzienniki zwykły pisywać jedne o drugich — wskutek tego zaś, nie ma pod słońcem tematu bardziej oklepanego i mniej zabawnego, jak dziennikarstwo. Nasze atoli dziennikarstwo stanowi w tej mierze wyjątek, jest ono jeszcze tak młode, że publiczność nie miała czasu oswoić się z jego dziecięcemi chorobami, ząbkowaniem, odrą, kokluszem itp. — zajmuje się ona niem przeto, jakby matka zbyt troskliwa, słucha wszystkich skarg i grymasów, irytuje się, wzywa doktorów, i radaby zwołać *consilium* przy lada sposobności. Doktorowie różni, różnie radzą: według jednych, brak dziecięciu kapitałów, według drugich, brak mu pracy, według trzeciego nakoniec medyka, brak połączenia pracy z kapitałem — aż nakoniec wpada czwarty doktor, zdaleka zapisany, i decyduje, że wszystko jest jak być powinno, i nie dostaje dziecku jedynie... namaszczenia kapłańskiego. Otóż pomimo tak wielostronnej djagnozy, zostaje przecież jedna strona, z której u nas nie badano dziennikarstwa, a tą jest strona — czwarta. Każdy wie, że na tej czwartej stronie znajdują się inseraty, ale w wielkiej liczbie czytelników gazet, rzadko który zdaje sobie sprawę z materjalnego i moralnego znaczenia inseratów, z doniosłości, jaką one mają dla swego wydawcy, dla autora i dla dobrodusznego nakoniec czytelnika.

Zastanówmy się cokolwiek nad inseratami. W pierwszej linji, dajmy definicję inseratu. Inserat jest to środek, za pomocą którego uwaga publiczna skierowaną być ma na interes prywatny. Mógłby mi kto zarzucić, że definicja ta nie jest dokładną, że np. artykuł wstępny lub fejleton nieraz pod pozorem sprawy publicznej poleca coś takiego, co tylko czyjemuś interesowi prywatnemu dogodnem być może. Mógłby pesymista jaki pójść jeszcze dalej, Mógłby twierdzić, że istnieją „środki“ tego rodzaju, o jakim mówię, a które wcale już nie mają podobieństwa do inseratów. Mógłby mi np. wskazać męża lub młodzieńca, który pewnego popołudnia nie wiedział, zkądby dostać, dajmy na to, tyle mamony, ile jej w idealnych swoich obietnicach wypłaty srebrem, przedstawiać ma staloryt chełpiący się głośno, że c. k. austrjacki bank narodowy wypłaci, *à qui veut le croire*, sto guldenów po sto centów w. a. Mąż ten lub młodzieniec zna mecenasa, któryby ofiarował tę sumę na cel publiczny, ale nie poświęci jej niczyjemu interesowi osobistemu. Bierze się w takich razach myśl publiczną np. taką, iż dobrzeby było, gdyby pewnej liczbie prostaczków wytłumaczono, że oszczędność i praca są podstawą dobrobytu, i że skoro zarobią tyle, by mogli oszczędzić cokolwiek, nie powinni tego wyrzucać za okno. Dla tej myśli zawiązuje się stowarzyszenie i wybiera się komitet, w którym rzeczywiście zasiada ów mecenas. Po gruntownej naradzie, komitet uchwala, że potrzeba wydrukować broszurę, mecenas przedstawia tę sprawę ogólnemu zgromadzeniu, które z zapałem przyjmuje wniosek i poleca mecenasowi jego wykonanie. Teraz dopiero mąż lub młodzieniec, od którego wyszła myśl pierwotna, produkuje manuskrypt oddawna przygotowany, mecenas płaci druk, papier i honorarjum, i tym sposobem owa myśl zbawcza dostaje się między myszy, co zjedzą nakład, a 100 złr. w. a. dostaje się autorowi, który je zje także. Możnaby, powiadam, utrzymywać, że stowarzyszenie tego rodzaju wraz z myślą, co je natchnęła, jest także inseratem w swoim rodzaju, i że takich inseratów lub tym podobnych, bywa bardzo dużo. Mimo obawy przed zarzutemi tej natury, nie jestem w stanie dać ściślejszej definicji inseratu, i oświadczam tylko, że mówię wyłącznie o inseratach drukowanych na czwartej stronicy dzienników.

Jest to osobna literatura, która ma swoje uprawnienie kupieckie, a więc ekonomiczne, i której nie można nic zarzucić, póki zostaje w tym swoim zakresie działania, tj. póki celem jej przenieść pieniądz z kieszeni cudzej do własnej. Kto się raz oszuka, nie kupi drugi raz towaru zachwalanego, i na tem koniec. Ale jest pewna kategorja inseratów szkodliwych, przed którą jak przed jadowitemi grzybami godzi się ostrzedz naiwną część czytelników. Mam tu na myśli te ogłoszenia, które są obliczone na nerwy ludzi chorych, lub wyobrażających sobie, że chorują. — W pierwszej linji, idą tu owe sławne *arcana*, jak np. rewalesciery, ekstrakta słodowe, herbaty piersiowe itd., które począwszy od Ojca Św. a skończywszy na poczmistrzu w Trippstrill, całą cierpiącą ludzkość wyleczyły już ze wszystkich trapiących dolegliwości, do tego stopnia, że człowiek łamać sobie musi głowę nad zagadnieniem, co już teraz poczną grabarze, handlarze trumien itd? Każdy z takich środków zbadany jest oczywiście przez fakultety i inne powagi uczone, i każdy, jakkolwiek składa się tylko z tartego bobu, ze słonej wody, lub z przestałego wina, ma być produktem tak sztucznej kombinacji, że tylko w tym a tym handlu nabyć go i za jego pośrednictwem wiecznej czerstwości i żelaznego zdrowia dostąpić można. Jeżeli zważymy, że najśmielsi z szarlatanów fabrykujących takie leki, płacą krocie za same ogłoszenia, strach zbiera pomyśleć, ilu naiwnych ludzi padać musi ich łupem, ze szkodą nietylko kieszeni, ale co gorsza, zdrowia!

Do tej samej kategorji należą pewne ogłoszenia lekarskie. Doktor X. mieszka tam a tam, i ordynuje od tej do tej, zajmując się specjalnie takiemi a takiemi chorobami. Oto anons godziwy i pożyteczny — ktoś przyjedzie do miasta, potrzebuje lekarza i wie, gdzie go znaleźć. Ale doktor Y. natomiast wynalazł osobną metodę, za pomocą której w takim a takim przeciągu czasu, bez bolu, bez leków, a nawet bez oglądania chorego, podejmuje się wyleczyć go z wszystkiego, co mu dolega. Każdy człowiek światły wie, że w medycynie nie istnieją metody, któreby były sekretem znanym tylko jednemu uprzywilejowanemu lekarzowi, i że anons podobny powyższemu jest szarlatanerją. A jednak, ileż pacjentów wpada w ręce szarlatanom, którzy hańbią naukę takiemi niedorzecznościami, w jej imieniu głoszonemi?

Osobną *species* doktora Y. stanowi „lekarz praktycznej medycyny“ *(sic)*. Ponieważ nie wolno uzurpować tytułu doktora, jegomość ten wykomponował sobie taką właśnie „praktyczną“ godność, z ujmą sensu gramatycznego. Ma on oczywiście także osobną swoją metodę: zlewa ludzi wodą, poi ich dekoktem z baranich rogów, itp. Rzesza chętnie wierzy w cuda, i nic łatwiejszego jak wmówić w nią, że pewne indywiduum, pozbawione studjów przygotowawczych, własnem swojem doświadczeniem zbadało to, na co dla innych składały się wieki pracy i nauki....

Otóż to jest jedna ze złych stron czwartej stronicy w dziennikach, zwłaszcza u nas, gdzie ludzie zawsze wtenczas dopiero udają się po lekarza i do leków, gdy już na dobre zachorują. Kiedyż rozpowszechni się przekonanie, że rada lekarska najzbawienniejszą jest wówczas, gdy jeszcze czas ustrzedz się choroby, i że powinniśmy dawać lekarzom zarabiać pieniądze tak, jak Chińczycy, tj, płacić im, aby nas przestrzegali przed tem, co zdrowie nadwerężyć może. Gdyby ogólnie uznano tę prawdę, szarlatanerja straciłaby grunt pod nogami. Tym zaś, co wierzą w inseraty, dlatego że je czytają w dzienniku, niechaj służy do wiadomości, że żadna redakcja nie bierze na siebie moralnej odpowiedzialności za ogłoszenia prywatne. Zdarzyło się wszakże, że pewną redakcję listownie łajano z powodu iż ktoś uwierzył w inserat obiecujący zegar, kobierzec, garnitur firanek i przyrząd do pisania za łączną kwotę 5 złr. i że sprowadziwszy te cuda za przekazem pocztowym, widział się cokolwiek zawiedzionym w swoich oczekiwaniach!

* * *

Niechajby natomiast żądano sprawy od niejednej redakcji za to, co drukuje pod własną swoją firmą. Ale i tu nie bardzo i nie zawsze można być surowym. Bajeczka o artykułach „podsuniętych“ jest już wprawdzie zbyt zdyskredytowaną, bym mógł powoływać się na nią w obronie redaktorów — są jednak prawdziwe wypadki, w których redaktor najniewinniej w świecie brać musi cudze grzechy na swoje biedne barki. Znam w Galicji, niedaleko ztąd, pewnego „kapłana“ literatury perjodycznej, który, jeżeli się nie mylę, miałby prawo przy uroczystych okazjach występować w todze ze złotym kołnierzem i z gwiazdkami, i w którego biurze nawet recenzent teatralny musi mieć rangę, co najmniej, praktykanta konceptowego. Otóż — wcale niedawno — p. praktykant konceptowy folgując naturalnym młodzieńczego wieku popędom, zamiast pójść do teatru, poszedł poza teatr, i prosił jednego ze swoich przyjaciół, by go wyręczył w napisaniu recenzji. Przyjaciel ten atoli, nie czując się na siłach, udał się z tą prośbą do kogoś trzeciego, ten trzeci do czwartego, i tak poszło dalej, aż nareszcie szósty z prószonych zasiadł na krytycznym trójnogu i sporządził elaborat, który doręczono p. praktykantowi konceptowemu, i który też nazajutrz ujrzał światło czernidła drukarskiego w organie kapłana *der achten Diätenclasse*. P. praktykant nietylko adoptował to dziecię niekapłańskiej muzy, ale ponieważ wydało mu się pięknem i udałem, pokochał je; gdy więc przyniesiono numer do kawiarni, jął z wielkiem zadowoleniem przypatrywać mu się i chwalić się niem, jak swojem. Przypadek atoli posadził, tuż obok, rzeczywistego rodzica, owego szóstego z kolei wyręczyciela w praktyce konceptowej.

— Czytałeś pan dzisiejszą recenzję? zapytał ojciec adoptowany.

— Nie sądzę, by było warto, odparł tamten, unosząc się skromnością, towarzyszącą zwykle rzeczywistej zasłudze.

— Przeciwnie; przejrzyj-no pan tylko, rzecz wybornie napisana!

— Ależ panie — zawołał zagadnięty, rzuciwszy okiem na swój utwór — to zbiór nonsensów, jakiego nie widziałem!

— Panie!

— Tak, panie!

Miny rozmawiających były w tej chwili tak groźne, że znajomi obstąpili ich czemprędzej, by ułagodzić rozjątrzone umysły. Adoptowany ojciec recenzji uległ tym perswazjom pierwszy.

— Ale, dodał — niechaj ten pan nie rozprawia o tem, na czem się nie rozumie!

Tego już było za wiele prawdziwemu autorowi. Głos natury ozwał się w jego piersi, i wyjmując z kieszeni brulion manuskryptu, odwołał się do uczucia sprawiedliwości wszystkich obecnych; czy podobna, aby się nie rozumiał na wartości tego, co sam napisał?

Ja zaś odwołuję się do sądu opinji nieuprzedzonej z prośbą o orzeczenie, co winien w takim razie redaktor, któremu każą być kapłanem, a który z winy swojego kościelnego, odprawił mszę na fałszowanem winie? Jeżeli recenzja była w istocie niedorzeczną — a sam autor największą jest powagą w tej mierze — nie byłoż to przypadkiem niefortunnym, z którego nie spada żadna plama na śnieżną togę kapłaństwa perjodycznego?

Jan Lam.

TEATR.

(Obecny repertoarz dramatu. — „Hrabina,“ opera w 3 aktach St. Moniuszki.)

Repertoarz dramatu przybrał w ostatnich czasach kierunek, który, o ile nader pochlebnie świadczy o artystycznym smaku obecnej dyrekcji, nie wahającej się poświęcić dlań nawet pewnych korzyści kasowych, o tyle jednostronnością swoją i wyłącznością nie odpowiada w zupełności zadaniu teatru, jak nasz, którego obowiązkiem jest uprawiać zarówno wszystkie działy sztuki dramatycznej, łączyć kierunek poważniejszy z lżejszym i w obydwu starać

się przedewszystkiem o wzbogacenie repertoarza nowemi utworami, godnemi przedstawienia a charakteryzującemi współczesny stan sztuki i literatury dramatycznej w kraju i zagranicą. Mówimy tu o upośledzeniu, jakiego od pewnego czasu doznaje w teatrze naszym komedja. Jeden wieczór po drugim zapełnia dyrekcja poważnymi dramatami i tragedjami, przeplatając je zaledwie od czasu do czasu komedjami od dawna znanemi i pomimo niezaprzeczonej ich wartości zasługującemi na zastąpienie z czasem nowszemi komedjami. Takich zaś nie brakowałoby wcale, gdyby dyrekcja chciała rozglądnąć się nieco po repertoarzach teatrów zagranicznych, zwłaszcza francuskich. Kilka z nich przedstawiał już w bieżącym roku teatr krakowski z wielkiem powodzeniem. Przedstawianie samych tylko poważnych i ciężkich utworów, pomijając już trudność przedstawienia dobrze, skoro nie ma dość czasu na staranne ich przygotowanie, nie stanowi jeszcze, ani też nie dowodzi bynajmniej „powagi“ teatru; podobnie jak widok człowieka paradującego, w zwyczajnych życia tego okolicznościach, we fraku i w lakierowanych trzewikach, nie świadczy jeszcze o wielkiem bogactwie jego garderoby... Przytem zachodzi obawa, ażeby przesycanie publiczności poważnemi sztukami, nie wzbudziło w niej niebezpieczniej wielce dla dobrego smaku reakcji... Sądzę, że dyrekcja zechce uwzględnić te przyjazne uwagi i zastosuje się do nich.

W zeszłym tygodniu wznowiono grany już na wiosnę b. r. dramat w 2 częściach J. Szujskiego p. t. „Maryna Mniszchówna czyli Polska i Moskwa w XVII. wieku.“ Utwór ten wysokiej wartości, pełny głębokich myśli i zalet poetycznych, zbiegiem dziwnych okoliczności, nie doznał dotychczas we Lwowie żadnej oceny, w Krakowie zaś nietylko przedstawiany był z dziwnym brakiem pietyzmu (role obu Dymitrów n. p. grał początkujący aktor,) ale i oceniony nader pobieżnie i płytko. Nie będąc w możności z powodu natłoku sztuk nowych napisania o nim teraz obszernie, wolimy odłożyć to do chwili, kiedy pojawi się drukiem, co zapewne niebawem nastąpi. D. 27. b. m. przedstawiano po raz pierwszy utwór p. Bronisława Komorowskiego p. t.: „Krok, ostatni Arkony książe,“ którego ocenę dla braku miejsca podamy dopiero w przyszłym tygodniu.

Dziś wspomnimy tylko o operze Moniuszki „Hrabina,“ przedstawionej po raz pierwszy 23. b. m. Utwór ten, pomimo że nosi na sobie niezaprzeczoną cechę oryginalnego, rodzimego talentu nieodżałowanego naszego kompozytora i zawiera wiele rzeczy nowych i pięknych, uważamy za słabszy od innych utworów Moniuszki. Daje się w nim czuć zwłaszcza pewien brak jednolitości w kompozycji, pewna fragmentyczność, pewna pobieżność i pośpiech. Obok pereł prawdziwego natchnienia, jaką jest n. p. ów cudny polonez rozpoczynający akt 3ci, niejednokrotnie napotykamy motywa wyśpiewane już przez samego mistrza gdzieindziej i piękniej. Mimo to rodzima, swojska nuta Moniuszkowej lutni, i tu rzewnym urokiem czaruje ucho słuchacza. Lecz do łagodnej, swojskiej, tęsknej harmonji Moniuszkowych dumek i polonezów, przyplątał się tu po raz pierwszy dźwięk satyry, poczciwej i dobrodusznej, ale nie bez pewnego pieprzyku. Przedmiotu do niej nastręczyły kompozytorowi polskiemu: cudzoziemczyzna i motylkowatość, jakie grasowały po niektórych salonach warszawskich w chwili, gdy rozgrywały się losy ojczyzny... Myśl tę wyraził Moniuszko w partjach podczaszyca, Dzidzia i wreszcie samej hrabiny, w przeciwstawieniu do czysto polskich i serdecznych postaci starego chorążego, Broni i Kazimierza. Najoryginalniejszą ze wszystkich jest partja samej hrabiny. Delikatny humor i satyra przebijają się tu w przesadnej afektacji, wyrażonej ustawicznem balansowaniem od najwyższych do najniższych rejestrów głosu. Najcharakterystyczniejszą w tej mierze jest oryginalna i umiejętnie skomponowana arja w akcie 3im: „Czy mam mój żal okazać mu.“ Pełnym rzewnej prostoty i do głębi przejmującego uczucia jest ów polonez na 4 wiolonczele, tworzący uwerturę do 3go aktu. Brzmi on jak skarga starego wiarusa za niepowrotną, uroczą przeszłością... Polonez ten był dziełem szczęśliwego natchnienia chwili. Na ostatniej próbie przed pierwszem przedstawieniem „Hrabiny“ spostrzegł Moniuszko, że akt 3ci wymaga koniecznie uwertury. Powrócił do domu i przez noc napisał ten polonez. Rano wyuczyła go się orkiestra, a wieczorem trząsł się teatr od oklasków. Znakomitą jest instrumentacja w „Hrabinie,“ mniej za to chóry.

Wykonanie „Hrabiny“ przedstawiało wiele do życzenia. Sama partja tytułowa, jakkolwiek wykonana przez p. Jakowickę ze wszech miar sumiennie i pod względem muzycznym umiejętnie, straciła jednak ów wyraz charakterystyczny, który określiłem powyżej. P. Jakowicka nie jest śpiewaczką charakterystyczną. Sympatycznym jak zwykle był p. Zakrzewski, toż samo p. Borkowski. P. Koncewicz, pomimo kilku chwil szczęśliwych, grzeszył przesadą i rubasznością. Dzidzio, p. Mikulski, wykazywał braki, których usunięcie nie leży już podobno w możności samego artysty. W pięknej partji Broni wolelibyśmy słyszeć pnę Kramer. Orkiestra była wybornie dyrygowaną. Chóry, jak zwykle, pozostawiały wiele do życzenia. Strona zewnętrzna przedstawienia (zwłaszcza w akcie 2gim) grzeszyła tem, że efekta nie następowały szybko i bezpośrednio po sobie, na czem traciła ciągłość wrażenia. Nieprzyzwoitością zaś byłoby wspominać o części choreograficznej.

Michał hr. Dzieduszycki.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

Wyrok Cooka i Forstera, potwierdzony dwuwiekowem, drogo opłaconem doświadczeniem, byłby niezawodnie zamknął na długo podróże na morza i lądy arktyczne, przynajmniej od strony Ameryki, gdyby nie wrodzona człowiekowi żądza badania, odkrywania i rozszerzania coraz dalej granic swojej wiedzy. A właśnie świat polarny, ta ojczyzna wiecznych lodów, ta tajemnicza kraina, gdzie kończą się i poczynają wielkie prądy oceaniczne, wywierające tak potężny wpływ na najodleglejsze lądy i morza, gdzie obok bieguna fizycznego kuli ziemskiej kryją się bieguny zimna, wiatrów i magnetyzmu, gdzie w długich nocach płoną zorze polarne, a w długich dniach północne fata morgana, martwe a groźne, jak cała przyroda tamtejsza, łudzą zbłąkanych żeglarzy — mogła bardziej, niż którakolwiek inna część ziemi czy wody naszego globu, spotęgować do namiętności tę żądzę odkryć, którą znany powieściopisarz geograf, Juljusz Verne, tak znakomicie zidealizował w kapitanie Hatteras, bohaterze powieści „Pustynia lodowa“.

W miarę więc jak bledły widoki odkrycia północnych dróg handlowych, które dotąd były głównym bodźcem do wypraw w strony arktyczne, wysuwały się coraz bardziej na pierwszy plan wyższe cele naukowe, nie obce już oczywiście i dawniejszym ekspedycjom, szczególnie Cooka, a nad obliczeniami zysków i strat materjalnych brała stanowczą przewagę szlachetna żądza rozwiązania zagadnień, których mnóstwo dotychczasowe wyprawy nasunęły, ale nie rozwiązały bynajmniej.

Nie były jednak wyprawy arktyczne tak zupełnie pozbawione wszelkich korzyści materjalnych. One-to bowiem w początkach 17 wieku utorowały drogę połowom wielorybów na morzach arktycznych, a połowy te wkrótce do takich rozwinęły się rozmiarów, że zatrudniały tysiące rąk i stały się dla północnych krajów Europy i Ameryki jedną z najważniejszych i najzyskowniejszych gałęzi handlu. Przynęcał więc świat arktyczny bogactwem swych toni i ludzi niezdolnych pojąć wyższych celów nauki, a patrzących jedynie zysków handlarskich.

Tak tedy pomimo zawiedzionej nadziei odkrycia północno zachodniej przeprawy i pomimo niezachęcającego bynajmniej wyroku Cooka i Forstera nie ustał zapał do dalszych podróży w okolice podbiegunowe.

Kompanie łowieckie i kupieckie ekwipowały i wysyłały raz porazu nowe wyprawy znanemi szlakami na morza arktyczne dla połowu wielorybów. Rokrocznie krążyło po wodach tamtejszych po kilkaset statków rybackich, a w stacji rybackiej Holendrów na wyspie Spitzbergen, w opustoszałym dzisiaj Smeerenbergu, który podówczas Batawią Północy nazywano, przebywało czasami po 18.000 ludzi dla połowu tych olbrzymów morskich. Wyprawy te, do których rząd angielskich zachęcał swoich poddanych ogromnemi premjami, przywoziły nierzadko z jednej kampanji po 2000 wielorybów w zdobyczy, a czasem, zapędziwszy się w nieznane strony, wzbogacały i naukę zrobionemi przypadkiem odkryciami. W zebranych przez Barringtona i Beaufoya relacjach, po największej części holenderskich kapitanów okrętów rybackich z tego czasu, znajdują się podania nadzwyczajnie ciekawe, ale niestety podejrzanej bardzo prawdziwości. I tak niektórzy z tych żeglarzy utrzymują, że zbliżyli się do bieguna na odległość 3° do 2°, gdzie znaleźć mieli morze cieplejsze, niż pod niższą szerokością, a jeden z nich twierdzi nawet, że przecisnąwszy się szczęśliwie przez zatory lodowe, zbite u północnych wybrzeży Spitzbergen, znalazł dalej otwarte morze, którem dopłynął aż do bieguna, a nawet kilkadziesiąt mil dalej poza biegun.

Ale takie przypadkowe, przez ludzi nieposiadających odpowiedniego przygotowania robione odkrycia, najczęściej bałamutne i potrzebujące sprawdzenia, nie zadawalały oczywiście uczonego świata i nie zaspakajały ciekawości, lecz owszem zaostrzały ją jeszcze bardziej i roznamiętniały śmiałych podróżników, chcących zdobyć sobie sławę odkrywców. W towarzystwach i akademjach naukowych, które od połowy 17 wieku, idąc za przykładem utworzonej w Londynie korporacji naukowej *Royal society*, wszystkie znaczniejsze stolice europejskie u siebie zakładały— rozbierano kwestje, czy około arktycznego bieguna rozpościera się ląd, czy też rozlewa się morze? — czy to morze jest okryte lodami, czy też otwarte? — a każda nowa wiadomość z za koła arktycznego była tematem do nowych rozpraw i wątkiem do wysnuwania nowych teorji. Liczni zwolennicy wypraw arktycznych, zwani Polistami, do których należał i sławny geograf i astronom Jan Barrow, założyciel londyńskiego towarzystwa geograficznego i autor dzieła o podróżach w okolice arktyczne, domagali się pismem i słowem wielkiej, naukowej wyprawy polarnej, i utrzymując wbrew twierdzeniu Cooka, że przeprawa północno-zachodnia istnieje i że czego dotąd nie odkryto, to odkrytem być może, radzili, uniesieni entuzjazmem, szukać jej wprost przez biegun.

Pomimo entuzjazmu Polistów nie wyekwipowano jednakże przez lat czterdzieści blisko, oprócz wypraw na połów wielorybów, żadnej znaczniejszej ekspedycji w celu robienia dalszych odkryć w świecie arktycznym. Były to bowiem czasy walki o niepodległość północno-amerykańskich kolonji, wielkiej rewolucji francuskiej i wojen Napoleońskich, które wstrząsały całą Europą i absorbowały wszystkie siły Anglji, najhojniejszej wypraw arktycznych protektorki.

Dopiero po przywróceniu powszechnego pokoju w r. 1815, weszły znowu wyprawy arktyczne na porządek dzienny, a wniósł je rossyjski kanclerz państwa Rumiańców, wysyłając Kot-

zebnego dla zbadania wybrzeży Azji i Ameryki powyżej drogi Beringa i uzupełnienia w tej stronie odkryć Cooka. Tymczasem nadzwyczajnie gorące lata w r. 1816 i 17 uwolniły wybrzeże wschodniej Grenlandji z lodów, które od pięciu wieków je zakuwały. Scoresby, sławny łowca wielorybów, a przy tem jeden z najznakomitszych podróżników arktycznych, opłynął fiordy grenlandzkie pomiędzy 70° i 74° płn. sz. i widział wszędzie ziemię zazielenioną bujną, choć nie wysoką, roślinnością, nie ubogą faunę, dosyć liczne osady, i znalazł nawet jeden pień pszczół pełen miodu. Równocześnie przyszły wiadomości, że i drogą Davisa spłynęły ku południowi niewidziane dotąd masy lodu, co pozwalało przypuszczać, że odnoga Baffina i kanał Smitha zapewne także z więzów lodowych się wyswobodziły. Zwracając uwagę na tak sprzyjającą porę, jakiej nigdy dotąd nie zapamiętano, wyjednał Barrow u rządu brytańskiego dwie odrazu wyprawy arktyczne, do czego przyczyniła się nie mało i ambicja Anglji, żeby Rossja nie zdobyła sobie pierwszeństwa na tem polu, na którem dotychczas ciągle flaga angielska przodowała. Wznowiono tedy dawniejszą nagrodę 20.000 ft. szt. za odkrycie północnych dróg morskich, jakkolwiek użyteczność ich dla stosunków handlowych była już podówczas co najmniej bardzo wątpliwą, wyznaczono premię 5.000 ft. szt. za dotarcie do bieguna, i w r. 1818 wyprawiono Buchana i Rossa, polecając pierwszemu płynąć jak najdalej ku północy morzem pomiędzy Spitzbergen a Nową Ziemią, drugiemu zaś szukać komunikacji północnych i zachodnich z odnogi Baffina. W tym samym roku wysłał rząd rossyjski Wrangla, aby poczynając od ujścia Kołymy zbadał wybrzeża Azji aż po Szelagskoj nos, a następnie, aby się starał przebić jak najwyżej ku północy, dla odszukania kraju polarnego, który już pół wieku przedtem miał był spostrzedz Kozak Andrejew, w czasie swojej podróży saniami po oceanie arktycznym, w okolicy wysp Niedźwiedzich. Wszystkie te trzy wyprawy nie odpowiedziały jednak bynajmniej nadziejom. Buchan spotkał na swojej drodze nieprzebyte zatory lodowe i musiał już po kilku miesiącach powracać; Ross posunął się zaledwie cokolwiek wyżej poza 75° płn. szer.; Wrangel trzymając się wiernie instrukcji, błądził cztery lata saniami po azjatyckiej części oceanu arktycznego, ale żadnego lądu nie odkrył, lecz owszem przekonał się, na trzech różnych miejscach, że pod pewną szerokością nie stawało mu już drogi, skorupa lodowa coraz cieńczała, a w końcu ginęła w otwartem, nieprzejrzanem morzu.

Ten nowy zawód, który zdawał się przekonywać, że na morzach arktycznych ani letnią porą okrętami, ani zimową saniami zamierzonego celu osiągnąć nie można, nie oziębił jednak bynajmniej zapału do dalszych wypraw w te strony. Owszem, od tego czasu przez lat blisko czterdzieści rozwinięto większą niż kiedykolwiek dawniej czynność w tym kierunku i przeszło pięćdziesiąt wypraw wysłano różnemi drogami na ocean arktyczny. Wybrzeża wschodniej Grenlandji badali Scoresby, ojciec i syn (1822), Sabine i Clavering (1823) i Duńczyk Graah (1829). Drogą Beringa wpłynął na ocean arktyczny Beechey (1825), mając się spotkać kędyś na północnych wybrzeżach Ameryki z Franklinem, który przebijał się do nich równocześnie od zachodu drogą lądową. Niezmordowany Parry przedsiębrał z odnogi Baffina trzy wyprawy (1819, 21 i 24), przedzierając się cieśninami pomiędzy wyspy od zachodu ją opasujące, a czwartą (1827) z Spitzbergen na łodziach i dalej sanną po lodzie ku biegunowi. Odkrycia tego podróżnika uzupełniali na archipelagu północno amerykańskim Lyon (1824) Jan i Jakób Ross (1829), Back (1836), Dease i Simpson (1837), a w końcu Jan Franklin (1845), który już dawniej odbył był dwie podróże lądowe w śnieżne stepy północnej Ameryki, a którego imię tragiczny koniec jego wyprawy szerzej rozsławił i zjednał mu większą popularność, niż zjednały najpomyślniejsze ekspedycje innym podróżnikom tego wieku.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Mes Fils par Victor Hugo. Paris. 1874.)

W tych dniach pojawiła się maleńka książeczka i zwróciła na siebie oczy całego świata. Któż się temu zadziwi? Na jej czole stoi czarodziejskie imię, któremu dano każdem dziełem swojem budzić echo zachwytu, uwielbienia, a co najmniej podziwu. Wiktor Hugo znowu przemówił. Na ten raz nie w obronie praw ludzkości, jak w „Nędznikach“ nie szeregiem apokaliptycznych obrazów „Strasznego Roku“—z których każdego rysu bucha wielki okrzyk pomsty, ale słowem pełnem prostoty, głębokiej boleści i rezygnacji rzewnej. Orzeł z Guernesey opłakuje swoje dzieci. Jest to tren żałobny, poświęcony dwóm synom, którzy w kwiecie wieku i potęgi talentu, w przeciągu dwóch lat pomarli. Sierocy starzec dzieli się tą niepowetowaną stratą swoją ze światem. Milczał, dopokąd ogromny głos rannej i przygnębionej ojczyzny wszystkim cierpieniom jednostek milczenie nakazywał, dziś widząc Francję na drodze odrodzenia, — daje folgę swojej boleści.

Opowiada, jak młodym jeszcze będąc, ożenił się, kreśli cichy obraz rodzinnego szczęścia, opartego na niezłomnych podstawach miłości i pracy. Z rozrzewniającą prostotą i dumą prowadzi nas za dziećmi swemi od ich kolebki aż do męzkiego prawie wieku, wtajemnicza w ich prace, dążenia, uczucia.

„Jak ich ojciec,—powiada,—tak i oni patrzyli na młodość swoją z powagą. Widząc go przy pracy, sami także pracowali. Nad czem? Nad stuleciem. Pracowali nad rozwiązaniem zagadnień wszech ludzkich, nad uszlachetnieniem dusz, oświeceniem sumień — dla wolności, dla prawdy. To też pierwsze ich dzieła owocu były pełne: wynagrodzono ich prędko, jednego sześciomа miesiącami więzienia, bo walczył przeciw rusztowaniu, drugiego dziewięcioma, bo prawa schronienia bronił“.

Obadwaj synowie w więzieniu. Ojciec skazany na wygnanie. W tem nieszczęściu to szczęście ich spotyka, że wszyscy trzej razem w obcy kraj odjechać mogą. Jakież to ich życie, zdala od ojczyzny?! „Cóż przez ten czas czynili? Prostą rzecz. Wykonywali swój obowiązek. Cóż to za obowiązek mieli? Wytrwać. To znaczy kochać ojczyznę, pracować dla jej sławy, bronić jej“. — .... Ale miłość ojczyzny — to tylko połowa obowiązku. Drugą połową jest ukochanie ludzkości. Jakże jej służyli? „Dobrym przykładem. Mieli matkę — uwielbiali ją; mieli umarłą siostrę, opłakiwali ją; mieli żyjącą — kochali ją — mieli ojca wygnańca, pomagali mu. W czem? W znoszeniu wygnania. Bywają chwile — w których ono bardzo cięży!...“

Z wygnania obdarzyli ojczyznę swoją szeregiem dzieł poważnych, drgających życiem i siłą talentu. Jeden z nich (Karol Hugo) był uniwersalnym genjuszem. Romansopisarz, poeta, publicysta — równie znakomitej siły. Drugi, (Franciszek) dwanaście lat życia poświęcił wielkiemu dziełu. Darował Francji — Szekspira, w całym jego majestacie. Wśród tych prac wybija dla nich godzina powrotu do ojczyzny. Trzykroć błogosławiona godzina! Czekają tam na nich. „Kto? Grób na synów — na ojca nienawiść“!

Te ostatnie słowa są ciężkie i gorzkie ale skargi w nich niema. „Bo i kogoż oskarżać? Ciebie, Boże? Nie. Ciebie, Ojczyzno? Nigdy!...“

Tu następuje przecudowna apostrofa dziękczynna do ludu francuskiego za udział jego w boleści ojca, pełna przebaczenia i wyrozumiałości nawet dla wrogów; a po niej olbrzymi hymn wiary i adoracji dla Boga. Chciałoby się każdą z tych potężnych myśli w nim zawartych po tysiąc razy wypisać. Niestety, nie ma dziś miejsca. Poprzestaniemy na kilku wyrywkach.

„Cóż mógłbym do ciebie — o Boże powiedzieć. Nie jesteś ty nie zbadanym? Cóż więcej wiemy nad to, żeś jest i że jesteśmy? Wieczysty Boże, poruszasz wrota grobu na zawiasach i sam wiesz — dla czego. My grób grzebiemy — reszta do Ciebie należy. Jamie w ziemi towarzyszy otwór w firmamencie“.

„I Ciebie oczerniono. Religje nazywają Cię zazdrośnym, gniewliwym, mściwym, — czasami tylko przypuszczają łagodzące okoliczności. — Tak czynią religje. Wiara Cię uwielbia. To też religje są wrogami wiary. Księża ośmielają się sądzić Ciebie — mędrcy nigdy. Przyjmują Cię. Przyjąć Boga jest najwyższą filozofją“. „Człowiek może tylko czynić bezsilne próby dla pojęcia ciebie. Pracuje, cierpi, kocha, płacze i przy tem wszystkiem spodziewa się. Schylać przed tobą czoła nasze, jest to samo, co ducha podnosić. Oto wszystko Boże, co do ciebie powiedzieć mogę“.

Potym dytyrambie następuje zwrot do wypadków 1870—1871. Niezmierne współczucie dla Francji, dla jej wrogów, dla ludzkości całej — jego cechą.

Kończy się boleśną wizją okropnych kataklizmów, które poprzedzić jeszcze muszą dzień wcielenia się i ustalenia ideałów ludzkości.

W ostatnich słowach poeta zwraca się z pociechą do samego siebie:

„Przyjdzie dzień wreszcie, kto wie, wkrótce może, w którym godzina, co dla synów nie dawno wybiła i dla ojca uderzy. Dzień pracownika się skończy. I na niego przyjdzie wreszcie kolej: do śpiącego będzie podobnym; złożą go w cztery deski i stanie się tym nieznajomym, którego umarłym nazywają. Odejdzie robotnik obciążony laty, zostawiając za sobą może żalu trochę, — jeżeli istotnie dobrze czynił, wilgotne oczy i czoła poważne odprowadzą go może aż na brzeg grobu — a w tej samej chwili wieczysta jasność przyjmie go w swoje objęcia i podczas gdy tutaj żałobny obchód trwać będzie, tam na górze radośny okrzyk wydadzą — oni — moi najukochańsi!...“

Nigdy Wiktor Hugo nie wzniósł się tak wysoko po nad namiętności ludzkie — nigdy nie był tak wielkim poetą, jak na tych kilkunastu stronicach. Bogdajby to nie była pieśń łabędzia!..

(*Die erste Theilung Polens von H. v. Sybel, Deutsche Rundschau, Heft I. Berlin, 1874.*)

(*Dokończenie.*)

W Austrji na czele rządów stała Marja Teresa, a młody cesarz Józef II. walczył ze starym dyplomatą Kaunitzem o wpływ na umysł cesarzowej, a tem samem o rzeczywiste rządy państwa. W krótkim czasie zdołał się młody cesarz wyemancypować z pod wpływu Kaunitza i matki i pochwycił cugle rządów w własne ręce, jakkolwiek był tylko współrządcą cesarzowej. Kaunitz nie wiele się troszczył Polską, pragnął powszechnego pokoju, tak jak Fryderyk II. a ideałem jego polityki względem Polski było zdobycie takiego wpływu nad nieszczęśliwym krajem, jaki miała Rossja. Głównem jego zadaniem było odciągnąć Fryderyka od przymierza z Rossją i zawrzeć aljans między oboma niemieckiemi państwami. Po uporczywych przeszkodach, stawianych przez Marję Teresę, zaciętą nieprzyjaciółkę króla pruskiego, udało mu się nareszcie przyprowadzić do skutku zjazd obu monarchów, Józefa i Fryderyka, który się odbył w Neisse na Szląsku. Zjazd ten nie doprowadził do żadnych ważniejszych dyplomatycznych porozumień, od niego się jednak datuje przyjaźń granicząca prawie z uwielbieniem Józefa II. dla Fryderyka II.

Tymczasem Prusy z Rossją zawarły ostateczny traktat, w którym umieściły artykuł o podziale Szwecji, w razie gdyby to państwo zmieniło swój szlachecki ustrój; a Rossjanie w wojnie z Turcją coraz to znaczniejsze korzyści odnosili, zajęli Mołdawję, wywołali powstanie Greków w Morei i zniszczyli flotę turecką na archipelagu. Postępy te Rossjan wzbudziły wielki niepokój w Austrji; zaczęto się zbroić, i sam nawet pokojowo usposobiony Kaunitz uważał wojnę za nieuniknioną. Wśród tego odbył się w Neustadt drugi zjazd Józefa II. z Fryderykiem, na którym tenże stanowczo oświadczył, że w razie wojny między Austrją a Rossją będzie musiał stanąć jako sprzymierzeniec po stronie ostatniej. W ten sposób z powodu chęci zdobyczy Katarzyny, zanosiło się na nieuchronną wojnę europejską, i nikt nie wiedział jak się te zawiłe sprawy rozwiążą.

Kwestję tę rozstrzygnął Józef IIgi nie dyplomatycznemi notami, ale stanowczym czynem. Niewiedział on nic o projekcie podziału Polski Fryderyka, który tak niefortunnego doczekał się losu, a jednak wpadł na tę samą myśl, aby pożądliwej zdobyczy Rossji wydać na łup zamiast Turcji Polskę, a przy tej sposobności i dla Austrji zyskać potężny kawał urodzajnej polskiej ziemi. Nie namyślając się długo, nawet bez wiedzy wszechpotężnego Kaunitza (tak przynajmniej Kaunitz utrzymywał) kazał wkroczyć kilku pułkom węgierskim do Spiża i zająć 20 mil kwadratowych z 13 miastami i 97 wsiami, jako t e r r a e r e c u p e r a t a e opierając się na jakichś pretensjach z r. 1412.

Wiadomość o tym wypadku wywołała wielkie wrażenie w Petersburgu, krok ten bowiem Józefa II. bezpośrednio po zjeździe Neustadzkim pozwalał się domyślać, że Józef chce odciągnąć Fryderyka od przymierza z Rossją, i że wespół ułożyli program podziału Polski. Na to w żaden sposób Katarzyna pozwolić nie chciała, zależało jej bowiem bardzo wiele na przymierzu z Prusami. Postanowiła więc podjąć plan podziału Polski, aby dać poznać Fryderykowi, że na przymierzu z nią więcej zyska, aniżeli na aljansie z Austrją. Ofiarowała Fryderykowi przez swego zausznika, Czerniszewa, Warmję, ten jednak z początku nie chciał nawet o tem słyszeć, obawiając się ciągle, aby Rossja przez zajęcie zbyt wielu prowincyj nie wzmogła się nadmiernie. Dopiero gdy Katarzyna zmniejszyła swoje żądania, przystąpił do projektu podziału Polski, ale zażądał nie Warmji tylko całych Prus Zachodnich. „Polska,“ miał wyrzec z cynizmem, „powinna nam zapłacić za nasze trudy, bo przecież dla niej wydała Turcja wojnę Rossji.“

W ten sposób Polska miała paść ofiarą kwestji wschodniej, ale do ostatecznego traktatu o podział Polski było jeszcze daleko. Katarzyna nie chciała odstąpić korzyści odniesionych w Turcji, i dopiero po roku, w grudniu 1771, po uporczywych naleganiach ze strony Fryderyka, który z piekielną gorliwością sprawę tę prowadził, zgodziła się na pozostawienie Sułtanowi Księstw Naddunajskich, aby przez to uniknąć zatargów z Austrją i umożliwić traktowanie o podział Polski.

W Austrji tymczasem toczyła się zacięta walka między Kaunitzem a Józefem, którzy na sprawę turecką, a ewentualnie polską, zupełnie odmiennie się zapatrywali. Kaunitz chciał wszelkiemi siłami przeszkodzić Rossji w zaborze prowincyj tureckich, i to przez wojnę, Józef II. pragnął tego samego, ale postanowił skierować żądzę zaboru Rossji na Polskę, i samemu przy tej sposobności skorzystać. Stara cesarzowa nie życzyła sobie także wojny, ale też zarazem nie chciała łowić ryb w mętnej wodzie, jak się wyrażała. Skoro Józef przedstawił matce projekt podziału Polski, staruszka rozpłakawszy się miała wyrzec: „Ja jestem stara kobieta i nic już nie znaczę, ale tak z b r o d n i c z e g o czynu nigdy nie widziałam i ręki doń nie przyłożę.“ W końcu jednak zwyciężył Józef i wysłał do Petersburga projekt zaboru niektórych prowincyj przez Austrję i Rossję. Katarzyna przez Panina dała odpowiedź, że się zgadza, ale pod warunkiem, aby i Prusy w podziale udział wzięły. Józef nic nie miał przeciw temu, ale Marja Teresa w żaden sposób na to zgodzić się nie chciała, aby dopuścić wzmocnienia najzaciętszego swego wroga, Fryderyka II. Musiano się brać na sposoby, aby staruszkę nakłonić i ostatecznie udało się to zręcznym zabiegom Józefa II. Rossja i Prusy natychmiast się zgodziły, a 17. lutego 1772 podpisano traktat, mocą którego król pruski zabierał Prusy Zachodnie, a Katarzyna wschodnią część Polski od Dniepru do Dźwiny. Nieco dłużej trwały rokowania z Austrją. Marja Teresa, owa czuła niewiasta, która rozpływała się we łzach na propozycję podziału Polski, zdecydowawszy się na podział, okazała się najbardziej chciwą zaboru i stawiała tak wygórowane żądania, że ją musiały oba inne zaborcze mocarstwa mitygować. Okazuje się z tego, że nie chodziło jej bynajmniej o surowość zaboru, ani nie miała tak wielkich sympatyj dla Polski, jak to niektórzy przedstawić usiłowali, ale właściwym powodem jej sprzeciwiania się podziałowi Polski była niechęć ku Fryderykowi, którego całem sercem nienawidziła. Ostatecznie zdecydowała się Austrja zabrać Galicję i w sierpniu 1772 podpisano w Wiedniu traktat podziałowy. Z trzech stron naraz wkroczyły wojska austrjackie, pruskie i rossyjskie do Polski, i w ten sposób spełniono ohydny gwałt, jakiego przedtem historja nie widziała, dając czynną sankcję przewrotnej zasadzie: siła przed prawem. Z tego krótkiego sprawozdania o intrygach dyplomatycznych towarzyszących pierwszemu rozbiorowi naszego kraju dochodzimy do dwóch wyników, bardzo ważnych dla naszej historji. Po pierwsze, że pierwszy rozbiór Polski był bezpośrednim wynikiem nierozwiązanej dotychczas kwestji wschodniej, a po drugie, że wszystkie trzy mocarstwa zaborcze są w równym stopniu winne. Ostatni ten pewnik jest tem ważniejszy, ile że dotychczas prawie każdy z historyków starał się to lub owo państwo usprawiedliwiać, zwalając całą winę na inne. Najbardziej spotwarzano Fryderyka, Marję Teresę zaś i Józefa usprawiedliwiano powszechnie. Historja rzuciła na tę smutną sprawę nowe światło i wydała sąd potępiający zarówno wszystkie trzy zaborcze mocarstwa, i uwydatniła zarazem antagonizm między Prusami a Rossją, który mimo pozornego przymierza od stu lat już się datuje. Z przyjemnością konstatujemy, że w ostatniej swej pracy p. Sybel nienawistny nam dotąd, zupełnie odmiennie zapatruje się na nas, niż dotychczas. Wstęp do jego rozprawy tchnie szczerą przyjaźnią dla Polski.

Bolesław Czerwieński.

Ze świata naukowego.

Skrajne temperatury na powierzchni kuli ziemskiej.

PODŁUG Dr. J. CHAVANNE.

Liczne wyprawy arktyczne, lądem i morzem od 16 wieku przedsiębrane, przyniosły nam wiadomości o takich stopniach zimna, a sprawozdania podróżników afrykańskich nowszych czasów, o tak wysokich stopniach gorąca, że w obec nich różnice pomiędzy skrajnemi temperaturami naszej strefy nikną prawie zupełnie.

Najniższą temperaturę zauważano dotąd we wschodniej Syberji w Jakucku. Osiadły tam kupiec Sewerow, któremu zawdzięczamy czternastoletnie, bardzo rozległe obserwacje, zapisał d. 21. stycznia 1838 r. 59.5^0 Cel. zimna. Bywają tam zimy, w których przez całe miesiące nie rozmarza rtęć, tj. temperatura powietrza nie wznosi się nigdy nad 40^0 Cel. niżej zera. Znany podróżnik sybirski Middendorf pisze: „Rtęć dawno już zamarzła w stały kruszec, daje się przerabiać na kule i kuć jak ołów; żelazo zrobiło się tak kruchem, że siekiery pryskają w użyciu jak szkło, a drzewo przeciwnie stawia taki opór rąbaniu, jak najtwardszy kruszec; zdaje się nawet, że ogień marznie, gdyż ziębną gazy, które go zażywiają“. W zimie z r. 1819—20 nie mógł nikt wyjść na powietrze bez maski, jeżeli nie chciał się narazić na odmrożenie uszów lub nosa. W kanale Smitha miał Kane kilkakrotnie 50 do 56^0 Cel. zimna. Sławny odkrywca północno zachodniej przeprawy, Mac Chlue, doświadczył podczas zimowania w zatoce Marcy 54^0 Cel. zimna, a przez cały miesiąc styczeń r. 1853 nie rozmarzła ani na chwilę rtęć i przeciętna temperatura tego miesiąca wynosiła 42^0 Cel. niżej zera. W forcie Reliance, na terytorjum kompanji Hudsońskiej, zauważano już także 57^0 Cel. zimna. Słusznie tedy i bardzo trafnie nazwano obszar dolnej Leny azjatyckim, a archipelag na północy Ameryki amerykańskim biegunem zimna.

Daremnie szukalibyśmy tak niskich temperatur w Europie. Od czasu, jak zaczęto tutaj robić obserwacje meteorologiczne, aż do dnia dzisiejszego nie spadł termometr nigdy, nawet w Petersburgu, poniżej — 40^0 Cel. Najniższą na naszym kontynencie temperaturę, — 48^0 Cel., zauważano w Enontekis w Szwecji, któreto miejsce leży 250 met. nad poziomem morza. W Wiedniu spadł termometr od r. 1770 wszystkiego tylko dwa razy do — 33^0 Cel. Ażeby pod naszą szerokością geograficzną znaleźć takie zimno jak w forcie Reliance albo Jakucku, musielibyśmy się wznieść 9—10.000 met. nad powierzchnię ziemi. Tak łagodną stosunkowo temperaturę zimową zawdzięcza Europa jedynie opływającemu zachodnie i północne jej wybrzeża prądowi golfowemu. Po drugiej stronie Atlantyku w Ameryce znajdujemy już pod szerokością Wiednia i Berlina tak niską w zimie temperaturę, jaka w Europie dopiero na północnej kończynie zatoki Botnickiej jest znaną.

Porównajmyż z temi ekstremami zimna najwyższe stopnie gorąca. Nie znajdujemy ich w strefie podrównikowej, zalanej w większej części wodami oceanów, lecz pod wyższą szerokością geograficzną na półkuli północnej, gdzie większe skupienie suszy, a niedostateczne przeciwnie rozczłonkowanie, sprzyja przy współdziałaniu innych jeszcze czynników orograficznych i geologicznych, wytwarzaniu się wysokich temperatur. Strefą, w której potęguje się gorąco do najwyższego stopnia na powierzchni kuli ziemskiej, jest tedy pas pustyń i stepów, rozpościerający się poprzerywanym miejscami łukiem od wysp Zielonego przylądka aż do muru chińskiego, a więc szczególnie północny i wschodni stok Sahary, nieprzejrzane stepy Afganistanu i Bokhary, południowe stoki Himalajów i dolina świętego Indów Gangesu.

Już przeciętna temperatura miesiąca lipca wynosi w Massaua, na zachodniem wybrzeżu morza Czerwonego, 37^0 Cel., t. j. stopień taki, do jakiego w środkowej Europie rzadko kiedy najwyższa temperatura dochodzi, która w Mossaua do 52^0 Cel. się podnosi. W Hindostanie wynosi przeciętna temperatura miesiąca maja w Selhanpore, około 336 met. n. p. m., 37.6^0, w Mynpurie 37.8^0, w Georgaon 38^0, w Auebola i Allahabad 37^0 Cel. W podróży z Murzuk do Kuki przekonał się Rolfs, że w środkowej Afryce, w Szimmedru na oazie Kauar, dochodził termometr codziennie przez dni 20 do 50^0, a raz wzniósł się był nawet do 53^0 Cel. Równie wysokie stopnie gorąca zauważano w Abu Arisz na półwyspie Arabskim 53^0, w Suez 52^0, w Assuanie 53^0, w Rhadames w Saharze 52^0, a w Murzuk kilkakrotnie nawet 56^0 Cel.

Wszystkie te obserwacje robione były w cieniu. Pomiary przedsiębrane w słońcu wykazały oczywiście wyższe jeszcze liczby. Rolfs i inni podróżnicy afrykańscy znaleźli w różnych miejscach Sahary, wystawiwszy termometr na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, temperaturę 60—70^0 Cel., podczas kiedy piasek miał 55 — 63^0 gorąca. Podobne spiekoty w słońcu znajdujemy jeszcze tylko w Afganistanie.

Usprawiedliwiają one znany wykrzyk boleści owego Afgana, który skarżąc się na nieznośne gorąco, zawołał: „Ałłah, pocóżeś stwarzał piekło, stworzywszy już Ghisne!“ 55° gorąca w cieniu, a 60—65° Cel. w słońcu, mogą zaiste wywołać z piersi człowieka taką skargę!

Ani w południowej i północnej Ameryce, ani w innych krajach Azji i Afryki, ani w znanych dotąd częściach Australji (wyjąwszy niziny rzeki Macquarie, gdzie obserwowano najwyższą temperaturę 53° Cel.), ani też w południowej Europie nie zdarzają się nigdy podobne upały. W Texas i w dolinie Upar w Kolumbji nie zauważano jeszcze dotąd nigdy wyższej temperatury nad 42° Cel. W Hiszpanji, we Włoszech i w Grecji nie przewyższa nigdy najwyższa temperatura w cieniu 45° Cel., a w Niemczech dochodzi gorąco wyjątkowo tylko do 38° Cel.

Różnica pomiędzy skrajnemi temperaturami na powierzchni kuli ziemskiej wynosi więc 116—125° Cel., t. j. o 25° więcej, niż odstęp pomiędzy punktem tajania a wrzenia wody. *L. T.*

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— A B C czyli nauka czytania i pisania, wyłożona na podstawie nauki poglądowej. Z drzeworytami Andriollego, rysunkami i wzorami kaligraficznemi. Warszawa. 1873.

Przyrzekliśmy w poprzednim numerze napisać obszerniej o wydawnictwie książek dla dzieci. Wywiązując się z przyrzeczenia, zaczynamy od poglądu na dziełko niniejsze, ktore jest pierwszem w rzeczonem wydawnictwie. Główna myśl Pestalozzego, ojca nowszej pedagogji, by dziecko przedewszystkiem nauczyć, jak ma poglądać świadomie i pożytecznie na wszystko, cokolwiek zmysły i ducha jego rozbudzić i rozwinąć może, jest tu konsekwentnie przeprowadzoną. W części pierwszej znajdujemy tylko ćwiczenia przygotowawcze — bez elementarza, na podstawie nauki poglądowej szereg ćwiczeń i pogadanek matki z dzieckiem. „Rozwińmy wpierw umysł dziecka — mówi autor w przedmowie — otwórzmy mu oczy i uszy, rozwiążmy język, zbudźmy wszystkie władze ducha i zmysłów jego: niech to dziecię wie, że istnieje, niech zna światek, w którym żyje, niech się uczy pozierać i poglądać świadomie na to, cokolwiek zmysły i ducha jego rozwinąć może, a w ten czas możemy być spokojni o los pracy i zachodów naszych“. — Umyślnie zatrzymaliśmy się tu nieco dłużej, by mniej obeznanym z dzisiejszym ruchem na polu pedagogicznem dać poznać istotę metody poglądowej, która w całem tem wydawnictwie jest przeprowadzoną. Część II. i III nareszcie obejmują naukę czytania która zawiera także wiele wskazówek, ułatwiających mozolną pracę tej nauki.

— Świat i dzieci czyli nauka o rzeczach wyłożona na podstawie nauki poglądowej dla dzieci od lat 5 do 10. Część I. Warszawa. 1873.

Nauka o rzeczach obejmuje w trzech oddzielnych częściach: I. Najbliższy światek dziecka, szereg pogadanek o najbliższej mu sferze a zatem o Bogu, rodzinie, szkole, ogrodzie, polu, lesie, wsi, mieście itd. II. Naukę o zwierzętach i roślinach dla dzieci od lat 7 do 9. Wkrótce zaś wyjdą: część III. obejmująca naukę o krajach i ludach i IV. o zjawiskach przyrody i wynalazkach.

— Wypisy polskie. Stopień I. Z wstępem zawierającym zasady i drogi, jakich się trzymać należy w czytaniu i wykładzie Wypisów. Warszawa. 1874.

Gdy dziecię podług elementarza P. Jeskego z łatwością czytać się nauczyło, polecamy te wypisy do dalszego ćwiczenia, w których dziecko myśli w elementarzu zaledwie rzucone znajdzie już więcej rozwinięte.

— Mała stylistyka zawierająca materjały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń stylistyczno gramatycznych. Warszawa. 1873.

— Bibljoteka umiejętności lekarskich. Farmakologja ogólna i szczegółowa oraz receptura przez Juljusza Wyrzykowskiego, lekarza ordynującego w szpitalu ewangelickim. Wydanie drugie uzupełnione. Warszawa. 1874.

Jestto wielce poprawny przekład dzieł: B. Schuchardta. „Handbuch der allgemeinen Arzneimittellehre und Receptirkunst“ tudzież L. Posnera, „Handbuch der klinischen Arzneimittellehre“. Tom pierwszy: Farmakologja ogólna. — Receptura. Część I. Farmakologji szczegółowej. Tom drugi: część II. Farmakologji szczegółowej.

— Źródło dobrego humoru. Zeszyt I. Warszawa. 1874.

Jestto zbiór anegdot, wypadków autentycznych, przypowieści, wierszy, satyr, prawd w formie bajek, parodyj, strawersowanych ogłoszeń, zdań podwójną myśl tłumaczących, szarad, łamigłówek, rebusów itp.

— Zasady muzyki, oraz nauka czytania nut głosem. Przyjęte przez Instytut muzyczny (konserwatorjum) Warszawski, przez Karola Studzińskiego, profesora Instytutu muzycznego w Warszawie. Wydanie drugie. Warszawa. 1874.

Forma pytań i odpowiedzi, jaką autor w tem drugiem wydaniu w wykładzie nauki przyjął, jakkolwiek zdawaćby się mogła zbyt elementarną i drobiazgową, w przedmiocie, który jak nauka czytania nut głosem, potrzebuje największego uzmysławiania przedmiotu, wydaje się nam bardzo odpowiednią.

Prof. Dr. E. Heiden. Nauka o nawozach i statyka rolnicza. Przełożył z niemieckiego Robert Brühl. Warszawa. 1874. Nakładem spółki wydawniczej księgarzy.

— Słowo o suchej destylacji, jej znaczeniu dla przemysłu i racjonalnym rozwoju, z dołączeniem sprawozdania z obecnej wystawy warszawskiej o produktach suchej destylacji, przez Edmunda Węzyka. Warszawa. 1874.

— O zaprowadzeniu, utrzymywaniu i użyteczności owiec rasy Romanowskiej, ze szczegółowym opisaniem przymiotów tej rasy zebrana przez Dymitra Gawryłowa. Przekład J. Nassalskiego. Warszawa. 1874.

— O wyleganiu zboża. W celu pozyskania świadectwa z ukończonych nauk w wyższej szkole rolniczej imienia Haliny napisał Jan Mateif. Poznań. 1874.

— Spółki pożyczkowe w zastosowaniu do gospodarstwa wiejskiego. Rzecz napisana w celu uzyskania świadectwa ukończonych nauk w wyższej szkole rolniczej imienia Haliny przez Jana Sadowskiego. Poznań. Nakładem autora. 1874. str.

Francuska.

— Histoire de la caricature sous la République, l' Empire et la Restauration. Par Champfleury, Paris, Dentu, 1774.

Autor dzieła powyższego sięgnął do r. 1789. W owej epoce, ksiądz, szlachcic i wieśniak pojawiali się bez przerwy w karykaturach. Rzecz naturalna, że zgodnie z duchem wielkiej rewolucji, pierwsi dwaj byli potępiani, a ostatni wynoszony pod niebiosa. Później przyszła kolej na rozmaitych pretendentów do tronu francuskiego a w końcu na dyplomatów. Dzieło pana Champfleury jest tak zręcznie zestawione, że z niego można się prawie nauczyć historji Francji.

— Histoire des Romains, par V. Duruy, vol. 4. Paris, Hachette, 1874.

Historji Rzymian pana Duruy wyszedł zatem tom czwarty, a co do wartości stoi zupełnie na równi z trzema poprzedniemi. Sposób przedstawienia, co dziełu wielką nadaje wartość, jest zawsze ściśle historyczny, a obok tego utrzymany w tonie pełnym godności. O rodzinie Augusta wyraża się bardzo surowo, a Senekę nazywa deklamatorem, i przy tej sposobności przytacza wyrażenie się Caliguli, który powiedział, że pisma Seneki to piasek, któremu brak cementu potrzebnego do utworzenia całości. Tom kończy się poglądem na kościół chrześcijański w II. wieku, na stanowisko pogaństwa i na politykę Marka Aureljusza.

— Histoire de l'art, par William Reymond, Paris, Germer Baillère, 1874,

Niktby nie uwierzył, aby całą historję sztuki, od czasów najdawniejszych, aż po dni nasze, można pomieścić w dziełku liczącem zaledwie 200 stronic, a jednak panu Reymond świetnie się to udało. Rzecz naturalna, że otrzymaliśmy od niego tylko jasne kontury epok pojedynczych, ale mimo to z pracy jego można się wiele nauczyć, i nabrać chęci do głębokiego studjowania historji sztuki.

Niemiecka i angielska.

— Politische Geschichte der Gegenwart; das Jahr 1873. Von Wilhelm Müller. Berlin, Springer, 1874.

Jest to jasna historja 1873 roku, który nie był tak ubogim w wypadki, jak na razie mogłoby się wydawać. Walka Niemiec z Watykanem, przejście najwyższej władzy we Francji w ręce Mac-Mahona, proces Bazaina i karlistowskie powstanie w Hiszpanji, oto fakta zasługujące na baczną uwagę historyka i wymagające bezstronnego sądu.

— Linley Rockford, by Justin M' Carthy, London, 1874.

Powieść powyższa należy do tych prawdziwie angielskich romansów, które obudzają ciekawość wewnętrznemi zaletami a nie zewnętrznemi środkami, a szczere zajęcie się losem bohatera wypływa ze współczucia, nie zaś z ciekawości. Gwałtownych efektów nie ma, ale jest za to mnóstwo postaci typowych, tak zręcznie uchwyconych, że zdaje nam się, jak gdybyśmy każdą z nich znali gdzieś osobiście. Romans ten należy do najlepszych, jakie w bieżącym roku pojawiły się w literaturze europejskiej.

— Once and for Ever, or Passager in the Life of the Curate of Danbury, by the Author of „No Appeal“. Lodon, 1874.

Chociaż ten romans nie jest już tak znakomity jak poprzedni, należy on zawsze do celniejszych i zasługuje na odczytanie. Wstęp tylko jest trochę nudny i trywialny, autor bowiem zapoznaje nas z bohaterem wtedy, gdy on był dzieciakiem, skutkiem czego radzi nie radzi musimy z nim przesiadywać na ławkach szkolnych. Interesowniejszym staje się bohater, odkąd kochać się zaczyna — a kocha się dobrze, bo aż trzy razy z kolei!

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Miesiąc właśnie mija, jak został wybrany komitet do zakupna „Unji“ Jana Matejki. W kilka dni wybrano komitet ściślejszy, i zdawało się, że natychmiast zacznie on działać, rozpisując subskrypcję w całym kraju, a tymczasem do dnia dzisiejszego nie dał znaku życia. Takiego postępowania nikt nie może pochwalić. Wiadomą jest rzeczą, że gdzie tak jak u nas w pewnych kierunkach panuje ospałość, tam tylko szybkie i bardzo energiczne działanie może być dobrym uwieńczone skutkiem, dla tego komitet nie powinien jednej chwili tracić, lecz natychmiast wziąć się do dzieła. Ponieważ opinja powszechna jest już przygotowaną — a więc trzeba kuć żelazo póki gorące. Niech komitet zmarnuje jeden jeszcze miesiąc, a przekona się z jakim wszystko pójdzie oporem.

Literatura, sztuka i nauka.

— P. Asnyk (E...ly) napisał nowy pięcioaktowy dramat pt. „Żyd“. Z Warszawy, gdzie ten dramat czytano, donoszą, że należy on do lepszych w naszej literaturze. Nam tylko żal, że poeta wybrał temat tak zużyty. J. Korzeniowski napisał „Żydów“, a p. Lubowski zrobił także „Żyda“.

— Pan Noe (Michał Chodźko) znakomity śpiewak, uczeń konserwatorjum paryskiego, który dłuższy czas występował z wielkiem powodzeniem w Ameryce, zjeżdża do Warszawy na występy gościnne. Może dyrekcja teatru lwowskiego mogłaby go pozyskać przynajmniej na kilka występów.

— W Londynie wydano nieznaną dotąd kompozycję Fryderyka Chopina. Jest to „mazurek“ ofiarowany pani Nicolai, żonie radzcy poselstwa.

— Jedna z literatek warszawskich powzięła zamiar urządzenia tamże publicznej czytelni dla kobiet. Prócz dzienników krajowych i zagranicznych, będą się w niej znajdowały najznakomitsze dzieła treści belletrystycznej. Z całego kierunku czytelni widać, że założycielce nie tyle idzie o rozrywkę, co o zdrowe kształcenie kobiet.

— Towarzystwo literackie w Dorpacie wydaje ciekawe nader dzieło. Jestto zbiór pieśni estońskich, opowiadań i zagadek, których zestawieniem zajął się zmarły w roku zeszłym Juljusz Wiktor Stein, poświęciwszy kilka lat tej żmudnej pracy, aby mitologję narodów estońskich wzbogacić.

— W Monachjum odbyło się posiedzenie współpracowników dzieła: „Staatengeschichte von Uckert und Heeren“ celem dalszego wydawnictwa nieukończonych działów. Myśl tę poruszył prof. Giesebrecht. W bliskiej przyszłości wyjść ma 5ty tom „Geschichte Schwedens“ von Carlson i „Geschichte Polens“ — tom 4ty von Caro.

Podróże i wynalazki.

— Rząd angielski wysyła nową wyprawę do bieguna północnego. Na najbliższem posiedzeniu gabinetu będzie ta sprawa wszechstronnie roztrząsaną. Świat, jak widzimy, uparł się, aby dotrzeć do bieguna i prawdopodobnie uda mu się to niezadługo, bo czegoż przy silnej woli dokazać nie można?

— Zapisujemy tutaj nowy a wielce ciekawy wynalazek francuski. Jest nim Podometer, t. j. przyrząd do obliczania ilości zrobionych kroków w pewnym czasie, a tem samem i przebytej przestrzeni. Najprostszym sposobem ku temu, zdawałoby się być liczenie kroków; byłoby to jednak bardzo nudną a niekiedy i niedokładną manipulacją. Podometer zaradza temu wszystkiemu. Jest to przyrząd wielkości kieszonkowego zegarka. Przymocowany w dziurce od guzika, za najmniejszem poruszeniem pieszego wędrowca, działalność swoją rozpoczyna. Każdy krok na nim zanotowanym zostaje — i wiele osób spostrzedz może, że ani wiedząc o tem, na przechadzce po pokoju, lub przy zwiedzaniu muzeów, kilka kilometrów drogi odbyło. Mechanizm podometru jest nader prosty. Na tarczy, podzielonej na 12 kilometrów, obraca się wskazówka. Wskazówkę tę porusza wewnętrzne koło zębate w które wpada drugie grzebieniaste kółko. Te zaś koła wprawia w ruch wewnątrz przyrządu na sprężynie horyzontalnie osadzony i za każdym krokiem wznoszący się i spadający znowu młoteczek. Jeżeli kroki wędrowca są nierówne, wówczas co prawda daje się obliczyć tylko ich ilość, a nie miara przebytej przestrzeni. Skoro jednak kroki są regularne, to i przestrzeń przebytą można najściślej podług ich liczby oznaczyć. Krok zaś zwyczajny musi wynosić 65 centymetrów. — Nie należy uważać tego nowego przyrządu za prostą zabawkę; oficerom i inżynierom daje on jeżeli nie zupełnie ścisłą to przynajmniej przybliżoną miarę przebytej odległości i to natychmiast, pod ręką. Można także za pomocą podometru skonstatować zmianę w szybkości pochodu oddziału.

Statystyka.

— Życie ludzkie poddane tylu szkodliwym wpływom, narażone na tyle niebezpieczeństw jawnych i ukrytych, że nic dziwnego, jeśli ze wszystkich zestawień statystycznych na przeciętkową długość życia człowieka wypada tylko 33 lat. Buffon postawił prawo, wedle którego pomiędzy czasem, którego jakiekolwiek stworzenie do zupełnej dojrzałości potrzebuje, a długością życia tegoż stworzenia, zachodzi arytmetyczny stosunek, jak 1 : 7. Prawo to sprawdza się na zwierzętach ssących — bez wielkich wyjątków — i tak naprzykład: jeleń który do zupełnej dojrzałości pięciu lat potrzebuje, żyje 35 do 40, — sprawdza się ono prawie w całym świecie zwierzęcym — ale niezmiernie rzadko pomiędzy ludźmi. — Przeciętkowy termin dojrzałości człowieka przypada na lat 20, należałoby mu się tedy wedlug powyższego prawa 140 lat życia, a tymczasem znany badacz Haller wykazał, że wśród miliarda ludności tego świata, ledwo jeden przypadek tak długiego życia w 500 latach się trafi. I cokolwiekby o tem Biblja, szafująca setkami lat, powiedziała, wbrew tradycjom o Matuzalemie, o królach latyńskich, którzy żyli po 800 lat, wbrew podaniom średniowiecznych ludzi, z badań historycznych pod tym względem pokazuje się, że ludzie we wszystkich czasach nie żyli dłużej, niż dzisiejsi. — Jednym z dowodów na to, są ślady poszukiwań we wszystkich wiekach środka na przedłużenie życia, fabrykowanie eliksyrów czarodziejskich i mikstur odmładzających, które wynalazców swoich od śmierci nie zachowały i zaiste, gdyby ich sekret do nas był doszedł, skuteczniejszemi by się nie okazały. To nas pocieszać powinno, że bądź co bądź, ze wszystkich istot ziemskich najdłużej żyjemy. Dłużej od nas żyje tylko wieloryb, słoń, kilka ptaków i płazów; reszta zaś nie przechodzi lat 80, zaczawszy od nosorożca i hipopotamma, trwających lat 70 — a skończywszy na myszy żyjącej od 5—6 lat. W rodzie ludzkim kobiety są długowieczniejsze od mężczyzn. Stan i rodzaj zajęcia oddziaływa niezmiernie na długość życia. Żonaci późniejszego wieku dochodzą od bezżennych. Statystyka stawia w pierwszym rzędzie księży i kupców, którzy dochodzą do przeciętkowego wieku 65 lat, potem wieśniaka 61 lat, żołnierza 59, urzędnika 58 a na samym końcu artystę 50 i rzemieślnika 45. Z ogólnej sumy mieszkańców ziemi, którą obliczają na sto miljonów, umiera rocznie 333,333,333, dziennie 91,924, na godzinę 3,730, w każdej minucie 60, — 1 na sekundę. Z tych umarłych czwarta część dzieci, — połowa przed dwudziestym rokiem schodzących ze świata. Na tysiąc 10 ludzi dochodzi 65 lat — dwóch 80, jeden 100.

Szkolnictwo.

— Szkoły rzemieślnicze niedzielne znajdują się prócz Warszawy również i w innych miastach Królestwa Polskiego. Ogólna liczba tego rodzaju zakładów wynosi 100 a rozdzielają się w one następujący sposób. Na miasto Warszawę przypada szkół 15 — z tych 5 jednoklasowych, 3 dwuklasowe, a 4 czteroklasowe — na gubernię warszawską 6, — na piotrkowską 13, — na radomską 10, — na kaliską 11, — na kielecką 11, — na płocką 10, — na lubelską 9, — na suwalską, łomżyńską, i siedlecką po 5 na każdą. Liczba nauczycieli przy szkołach rzemieślniczych niedzielnych w Warszawie przenosi 40, a wydatki ogólne na utrzymanie tych szkół w naszem mieście dochodzą rocznie do 10.000 rubli, z których 3.000 tytułem zasiłku płaci ministerstwo oświecenia, resztę zaś sumy dopełniają fundusze miejskie oraz opłaty wnoszone przez właścicieli warsztatów rzemieślniczych, fabryk i innych zakładów przemysłowych. W szkołach niedzielnych warszawskich pobiera obecnie nauki około trzech tysięcy uczniów — zaś w początkach stycznia r. b. we wszystkich szkołach rzemieślniczo-niedzielnych w całym kraju było 7.202 uczniów. Nauki wykładane w tych szkołach są: religja, języki polski i russki, arytmetyka do reguły trzech włącznie, geometrja zastosowana do potrzeb rzemiosła lub fabryki. Podobnież istnieją w Warszawie i niektórych z miast prowincjonalnych szkoły niedzielne handlowe. Z początkiem rb. takich szkół w Królestwie łącznie z Warszawą było 6. W nich w pomienionym czasie pobierało naukę 1.526 uczniów, sama zaś szkoła warszawska liczyła ich podówczas do 500. Nauki wykładane w niej są: religja, języki polski, russki i niemiecki, arytmetyka i rachunkowość kupiecka, wiadomości z buchhalterji, prawa wekslowego i geografji handlowej. Kurs nauk trwa lat pięć, licząc w to rok na klasę przygotowawczą. Skład nauczycielski szkoły warszawskiej ma jednego inspektora, dziesięciu nauczycieli etatowych i trzech przybranych. Fundusz na utrzymanie szkoły daje kupiectwo. Zarząd szkoły pod prezydencją inspektora szkół miasta Warszawy, stanowi komitet złożony z osób wybranych ze stanu kupieckiego. W ostatnich czasach powzięto zamiar podzielenia szkoły na dwie oddzielne, jedna dwuklasowa miała mieć charakter szkoły przygotowawczej, elementarnej, — druga miała być szkołą specjalną handlową.

— W cesarstwie austryjackiem jest 7 uniwersytatów i 8 instytutów technicznych (szkoły, sztuk i rzemiosł). Uniwersytet w Wiedniu liczy 230 professorów i 4.261 uczniów; w Gratzu 49 prof. i 848 uczniów; w Insbruku 58 prof. i 529 uczniów; w Pradze 120 prof. i 1.710 uczniów; we Lwowie 45 prof. i 1.067 uczniów; w Krakowie 69 prof. i 557 uczniów; w Peszcie 116 prof. i 10.885 uczniów. Wszystkie oprócz lwowskiego mają po 4 fakultety: 1) teologiczny, 2) prawny (przyczem nauki administracyjne, polityczne i statystyka); 3) lekarski (medycyna i chirurgja) i 4) filozoficzny. W uniwersytecie lwowskim nie ma wydziału lekarskiego. Instytut techniczny w Wiedniu liczy 74 professorów i 793 uczniów; w Gratzu 39 prof. 330 uczniów; instytut techniczny czeski w Pradze ma 38 prof. i 534 uczniów; a instytut niemiecki tamże 35 prof. i 308 uczniów; instytut techniczny w Bernie liczy 24 prof. 190 uczniów; we Lwowie 11 prof. i 265 uczniów; w Krakowie 23 prof. i 348 uczniów; i w Peszcie 35 prof. i 329 uczniów. Do kategorji wyższych zakładów naukowych w państwie austrjackiem zaliczyć należy: akademje górnictwa i leśnictwa, akademje rolnictwa w Marja-Brunn i akademje handlowe. Z ostatnich jedna jest w Wiedniu (25 prof. i 437 uczniów); druga w Gratzu (25 prof. i 206 uczniów); trzecia w Pradze (17 prof. i 176 uczniów); czwarta, (19 prof. i 206 uczniów); równie jak i akademja handlu i żeglugi — w Tryjeście (21 prof. i 143 uczniów).

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Handel ostrygami jest tak wielki, że sam Paryż spożywa rocznie 75 miljonów ostryg, a do Londynu przywożą rocznie 80.000 ćwierci tego artykułu. Wartość tysiąca sztuk wynosi 40 franków. Z obawy, ażeby ostrygi całkiem nie zaginęły, jeżeli takiemi masami będą pożerane, założono w licznych miejscach, wzdłuż brzegów holsztyńskich, francuskich, belgijskich i angielskich, sztuczne ostrygarnie. Są to obszerne, obmurowane baseny, do których świeża woda morska przypływa przez upusty. Największa ostrygarnia znajduje się w Ostendzie; rok rocznie dostarcza ona 15 miljonów ostryg. Łowienie odbywa się bądź za pomocą ciężkich sieci, bądź rękami.

— Handel śliwkami i hodowla ich nigdzie nie mają takiego rozgałęzienia jak w Ameryce północnej, z wyjątkiem chyba południowego Tyrolu, szczególniej okolic Arco, gdzie hodują niezmierną ilość tego owocu i nadzwyczaj piękne otrzymują jego gatunki. W północnej Ameryce jednakże, a szczególniej w Stanach Delavare, New-Yersey, Maryland i obu Karolinach, zbiór śliwek jest najważniejszą epoką w całym roku i wszystkie inne roboty miejsca mu ustępować muszą. Ażeby mieć wyobrażenie o znaczeniu tego handlu, dosyć będzie powiedzieć, że w czasie zbiorów same barki kanałowe przewożą i wywożą więcej jak 25.000 koszy śliwek. Zbiór z 1871 r. w Delawarze wynosił 4.500.000 koszy, które, licząc kosz po 10 dolarów, okrągłą sumę 100 milionów guldenów reprezentują. Ale transport wodą jest drobnostką jeszcze w porównaniu z kolejowym. Z dworca naprzykład w City Jersey, w czasie zbioru śliwek odjeżdża dziennie 100 do 200 wozów, umyślnie przeznaczonych do tego transportu, i z których każdy zawiera 500 koszy tego owocu. Sezon zaś „śliwkowy" trwa od Maja do końca Września. Największą część zbioru zużywają amerykanie na wyrób wódek, resztę zaś na zapasy okrętowe i domową potrzebę. Niektóre gatunki amerykańskich śliwek odznaczają się tą oryginalnością, że są dwu a niekiedy i trzykolorowe, np. Moore bardzo wielki i piękny, pół biały, pół czerwony. Susquehanna żółty, czerwony i biały.

— Jezioro Fusino albo Celana w Neapolitańskiem, osusza obecnie spółka kapitalistów pod prezydencją rzymskiego księcia Torlonio. Jezioro to wypełnia jedną z wulkanicznych kotlin Abruzzów w okręgu Avezana i zajmuje $2^{3}/_{5}$ mil kwadratowych. Największa głąb' jego wynosi $22^{3}/_{4}$ metra, lecz od czasu podjęcia robót około osuszenia jeziora, tj. od minionej wiosny stan wody w niem zniżył się o 10 metrów. Przedsiębiorstwo księcia Torlonio nie jest nowem; już Juljusz Cezar powziął był zamiar osuszenia jeziora Fusino, które częstemi wylewami zrządzało szkodę w okolicy, plan jego jednak nie przyszedł do skutku. Cesarz rzymski Klaudjusz, który panował od r. 41 do 54 po Chryst., podjął na nowo plan Cezara i wybudował wielki kanał w celu odprowadzenia z jeziora wody, lecz budowa okazała się wnet niedostateczną, wody porozrywały sztuczne tamy i powróciły do odwiecznego swego łożyska, w którem pozostawały aż do ostatnich czasów. Rząd neapolitański w czwartym dziesiątku lat bieżącego stulecia, wydał był kilkaset tysięcy lirów na odkopanie i oczyszczenie kanału Klaudjusza, który ciągnie się na 5.642 metrów, ale nic przez to nie osiągnął. Obecne przedsiębiorstwo osuszyło już obszar 9.000 hektarów, z których 2.000 w tym roku już były uprawione.

Stan powietrza.

— Meteorologowie francuscy zapewniają, że listopad i grudzień będą w tym roku tak wyglądały. Listopad: w pierwszych dniach deszcz i wiatr, przytem zimno. Śnieg zacznie padać między 9 a 17, między 23 a 30 śnieg powszechny. Przez cały ten czas na wszystkich prawie morzach wschodnich i u ujścia Dunaju będą gwałtowne burze panowały. Grudzień: silne mrozy rozpoczynają się d. 16 a trwają aż do Bożego Narodzenia. W grudniu śnieg ma padać tylko z początku; w drugiej połowie panować będą suche mrozy. Zobaczymy czy się sprawdzą te przepowiednie, zwiastujące — dobrą sannę.

Nekrologja.

— Dnia 29. października r. b. zmarł w Krakowie, Andrzej hr. Zamojski, znany z roli, jaką odgrywał w r. 1863 i 1864. Największej się zasłużył na polu przemysłowem, przez zakładanie licznych fabryk w Królestwie polskiem. Dzieło jego „O systemie więzień irlandzkich", należy do prac bardzo sumiennych i dobrze napisanych.

ROZMAITOŚCI.

— Podróżnik angielski, kapitan W. C. Manning, podróżując po Ameryce, znalazł ciekawą kolonję, o której dotychczas nic nie wiedziano. Między linją graniczną Nowego Meksyku a Coloradem, odkrył on naraz wieś, którą wysoki mur okalał. Wewnątrz znajduje się domów na 4000 mieszkańców, ale ludność zmiejszyła się w ciągu wielu lat o 2200 głów, tak że teraz liczy tylko 1800. Mowa ich jest podobna do chińskiej, niektóre obyczaje odpowiadają chińskim, a kobiety przypominają także rasę chińską. Religja jest na wskróś barbarzyńska. Najwyższy bóg nazywa się Montezuma — a przybycia jego oczekują każdego dnia ze wschodem słońca. Nieśmiertelność duszy należy do artykułów wiary. Ceremonje przy nabożeństwach są pełne form i przesady. Moralność tych dziwnych ludzi, o ile to zresztą cudzoziemiec mógł zbadać, należy do wzorowych. Forma rządu jest konserwatywno-republikańska. Rada, złożona z 13. kacyków, wykonywa najwyższą władzę. Sześciu z nich są radzcami dożywotnimi, reszta zaś wychodzi z powszechnych wyborów. Najstarszy jest prezydentem, drugi po nim wiceprezydentem. Jest także naczelnik wojskowy i policyjny. Głosowanie jest powszechne. Kobieta, jak to się w ogóle powtarza u wszystkich plemion indyjskich, nie jest uważana za zwierzę domowe, ale za istotę, której się najwyższy należy szacunek. Odosobniona ta gmina istnieje już w tem miejscu od 350 lat.

— Berlińczycy bardzo zmartwieni, bo d. 2. października zginął im w ogrodzie zoologicznym koń nilowy, jedyny jakiego mieli. A ile to kosztowało czasu i zachodu, zanim go dostali! Od upadku państwa rzymskiego aż po r. 1850, ciekawe to zwierzę nie znajdowało się w Europie ani w jednym egzemplarzu. Dopiero w r. 1850 powiodło się londyńskiemu towarzystwu zoologicznemu dostać jedno z tych zwierząt. Ówczesny wice-król Egiptu, Abbas-basza, urządził dla Anglików formalną ekspedycję, której wreszcie udało się złowić małego hippopotama, przy wyspie Obaysz, na białym Nilu. Gdy go przywieziono do Londynu, ciekawość publiczności była tak wielka, że w jednym roku odwiedziło ogród 360.402 osób, podczas gdy dawniej liczba gości nie przekraczała rocznie cyfry 200.000. — W lecie r. b. znany afrykański podróżnik, Hildebrand, telegrafował do dyrektora zoologicznego ogrodu w Berlinie, że w Zanzibarze jest do kupienia mały hippopotam, za którego chcą 4000 talarów. Dyrektor mimo ceny wysokiej zgodził się na kupno i upoważnił Hildebranda do przybicia targu. Hildebrand przywiózł to ciekawe zwierzę do Berlina d. 4. września r. b. Według jego opowiadania, złowiono je w sposób następujący: Pewien pater, należący do misji francuskiej w okolicy Zanzibaru, wyszedł raz na polowanie z pewnym oficerem angielskim od marynarki. We wsi Bogamojo, dowiedzieli się, że w rzece Kingam widziano hippopotama (samicę) jak z małem na plecach płynął wzdłuż sitowia. Zapaleni myśliwi udali się w miejsce wskazane, i wkrótce zbliżyli się do zwierzęcia na strzał. Anglik chybił, pater zaś trafił konia śmiertelnie w oko. Hippopotam miał jednak tyle jeszcze siły, że przepłynąwszy rzekę na drugą stronę ukrył swoje małe w namule i sitowiu. Po wielu trudach i niebezpieczeństwach, powiodło się wreszcie myśliwym odszukać ciekawego malca. Hildebrand karmił go w drodze troskliwie jak dziecko — ale wszystko nie pomogło. Zdechł biedaczysko, a berlińczycy przywdzieją pewnie żałobę! — Hippopotama dlatego złowić nie można, że w dzień siedząc w mule, wcale się nie pokazuje, i tylko w nocy wychodzi na brzeg aby się najeść ryżu. Mięso jego jest wcale smaczne; ze skóry, której grubość wynosi dwa cale, robią doskonałe batogi i pletnie.

— Kiedy po bitwie pod Wörth w r. 1870, dzienniki doniosły, że huk dział był słyszany pod Rastadt, tj. w odległości przeszło 10 mil geograficznych, nie jeden uważał tę wiadomość za przesadzoną. Tymczasem okazuje się z licznych faktów, że huk grzmiących baterji można słyszeć jeszcze dalej. Badacze natury wiedzą, że im równiejsza powierzchnia, tem dalej głos sięga, ponieważ nie natrafia na zapory, o które się ściera, przez co znacznie słabnieje. Podczas gdy Parry odbywał trzecią wyprawę do bieguna północnego, jeden z jego oficerów okrętowych, rozmawiał z drugim na łodzie w odległości pół mili. Parry słyszał prawie wszystko. Rzecz naturalna że w tych okolicach, gdzie wieczna cisza panuje — głos dalej i wyraźniej leci. — W pierwszych dniach czerwca r. 1666, flota angielska staczała walną bitwę z holenderską, na wodach morza Niemieckiego. Sławny Newton, wszedł pewnego wieczoru do wielkiej auli w kolegjum Trinity w Cambridge i oświadczył zebranym tam profesorom, że właśnie Anglicy walczyli na morzu z Holendrami i pierwsi zostali pobici. Rzecz naturalna, że żądano od niego wyjaśnienia tego proroctwa. Newton odpowiedział na to, że właśnie wraca z obserwatorjum, na którem słyszał huk dział, a ponieważ huk coraz się zwiększał, przeto wnioskuje, że Anglicy cofają się ku swoim brzegom. Bystre jego postrzeżenie, zostało w kilka dni dosłownie potwierdzone. — Podczas jednego powstania w Messynie, na Sycylji, słyszano huk dział o 16 mil geograficznych — podczas bitwy pod Waterloo, grzmot sięgał aż po południowe brzegi Anglji — gdy Francuzi Genuę bombardowali, w Liwornie odróżniano pojedyńcze strzały — a gdy w Karlskronie (w Szwecji) bito z dział ciężkiego wagomiaru, słyszano huk w Danji, tj. o mil 24. Najstraszniejszy huk, o jakim historja wspomina, pochodził z wybuchu wulkanu na wyspie Sumbawa, należącej do archipelagu indyjskiego. Olbrzymi wulkan Tambora wybuchał bez przerwy w r. 1815 od kwietnia do lipca, a huk był słyszany aż na wyspie Sumatra, tj. o 180 mil geograficznych.

— Słusznie powiedział poeta: „Kochanko moja, po co nam rozmowa?" Dwoje serc należących do siebie i pojmujących się nawzajem nie potrzebuje niedołężnych słów, które „w ustach wietrzeją, na powietrzu stygną"; jedno spojrzenie, gest jeden zagadkowy, albo nic nieznaczący dla otaczających, dla nich mieści w sobie tysiące czarownych zwierzeń. Bujna wyobraźnia Wschodu, tak skłonna do symbolizmu, zdołała wynaleźć dla kochanków jeszcze inny środek porozumienia. Jest nim tak nazwany „Selam" tj. bukiet złożony z symbolicznych kwiatów i ułożony wedle pewnych umówionych form. Najdrobniejszy szczegół w takim bukiecie coś znaczy. Nietylko wybór kwiatów, ich kombinacja, ale ilość i kolor wstążeczek któremi są związane, mnóstwo aluzji wyrazić są zdolne. I tak czarna wstążeczka z zieloną wypowiada przepyszną antytezę przeszłości smutnej, bo nie ogrzanej jeszcze ciepłem uczucia, które obecnie płonie w duszy wręczającego bukiet kochanka lub kochanki — i przyszłości pełnej najświetniejszych nadziei. Biały sznureczek oznacza pewność wzajemności — błękitny, lękliwe pytanie. Dwie gałązki splecione kunsztownie ze sobą, solenną przysięgę wierności wyrażają. Listkami naznacza się godzina schadzki itd. itd. Drugą mową specjalnie dla kochanków przeznaczoną — jest ruch wachlarza. Hiszpanja jest ojczyzną tego wynalazku. Obecnie właśnie wyszła u Ottona Janke w Berlinie „Mowa wachlarzowa, wedle hiszpańskich wskazówek opracowana przez Fenellę." Zawiera ona w sobie 50 rysunków przedstawiających różnorodne ruchy wachlarza, a pod niemi wyjaśnienie ich alegorycznego znaczenia. Wygodniejsze to niż bukiet, bo ten nie zawsze pod ręką mieć można — a wachlarz jest nieodstępnym towarzyszem w teatrze, na koncercie, balu i spacerze.

— W sierpniu r. b. szczególnego rodzaju zjawisko zaniepokoiło mieszkańców Cambridge, w Anglji. Oto około godziny 9. wieczorem takie miljardy mrówek nagle się pojawiały, że wszystkie ulice były jakby czarnym kirem pokryte. Niektóre z mrówek były nadzwyczajnej wielkości, bo miały przeszło pół cala. To samo zjawisko powtórzyło się w niektórych miejscowościach na prowincji i na południowych przedmieściach Londynu. Naturaliści nie umieją tego wytłumaczyć.

— W tych dniach ogród aklimatyzacyjny w Paryżu był sceną osobliwych łowów. Szczury zadusiły i pożarły bażanta wartości 1200 franków, prawdziwą rzadkość zoologiczną. Ta o pomstę wołająca zbrodnia wyzwała natychmiast kroki represyjne przeciw winowajcom. Puszczono na nich dziesięć jamników, które już nieraz w tym kierunku znakomite zasługi położyły. W pół godziny najwięcej, przeszło 300 szczurów padło trupem; mały jeden japoński piesek sam 70 szczurów niezdolnemi do walki i ucieczki uczynił. Dyrekcja ogrodu aklimatyzacyjnego odetchnęła nieco tym sposobem. Szczury bowiem stanowią przyczynę znacznych nieraz szkód i dla ich poskromienia Zarząd ogrodu zmuszony jest stale utrzymywać kilka sfór psów, wprawionych do łowów na nie.

— Dnia 20. i 21. bież. miesiąca straszliwy orkan nawiedził Irlandję i Wielką Brytanję. Na wschodnim brzegu Szwecji szalona ta burza rzuciła szrubowy parowiec o skały i na dwie części go rozbiła, przyczem 17 osób wraz z kapitanem okrętu straciło życie. Na północy wezbrały wszystkie rzeki do tego stopnia, że żeglugę na nich wstrzymać musiano. Pociągi kolejowe pod wiatr idące zaledwo nadzwyczajnemi wysiłkami od zboczenia się uchroniły. Burza porywała zwierzęta i ludzi z ziemi i z niezmierną siłą rozbijała ich o drzewa i mury. Szpitale Londynu przepełnione są ciężko uszkodzonemi ofiarami.

— Najnowsze nowojorskie gazety podają szczegóły towarzyszące trzęsieniu ziemi, które w przeszłym miesiącu nawiedziło miasto Gwatemalę, prawie ze szczętem zniszczyło miasto Antiguę i 32 ludzi o utratę życia przyprawiło. O wypadku tym donieśliśmy w numerze poprzednim. Bez żadnej poprzedniej oznaki niebezpieczeństwa, ziemia zatrzęsła się gwałtownie, w kierunku ze wschodu na zachód. Wstrząśnienie to było szeregiem drgań pojedyńczych, silnych, pionowych i poziomych. Falowate owe ruchy wznosiły się i opadały o całą stopę, tak, że każdy, kto się znalazł wówczas na ulicy, przewrócić się musiał. Rozdzierające krzyki ludności i trzask walących się murów, mięszały się z hukiem od podziemnego grzmotu podobnym. Okoliczność, że się to wszystko działo w nocy, podnosiła jeszcze ogólne przerażenie. Pierwsze wstrząśnienie trwało pół minuty, a w ciągu nocy dały się uczuć jeszcze mnogie, choć słabsze wstrząśnienia. Pozostali przy życiu mieszkańcy przepędzili noc pod gołem niebem śpiewając psalmy. Podczas tej katastrofy, zjawili się jeszcze i rozbójnicy, którzy rabowali co chcieli, grożąc śmiercią za wszelki opór. W stolicy Gwatemali trzęsienie ziemi mało co uczuć się dało, ale przybyli tam Indjanie przynieśli wiadomość, że trzy wsie u stóp wulkanu del Fuego, tejże samej nocy uległy zupełnemu zniszczeniu.

— Z całej Ameryki zrobi się wkrótce jedna linja kolei żelaznych. Niezadowoleni z tramwajów, Jankesy zaczęli teraz zaprowadzać we wszystkich główniejszych miastach tramwaje ciągnione nie końmi, jak w Europie, ale lekkiemi lokomobilami. Po dziś dzień zaprowadzono już takie tramwaje w Filadelfji i Chicago. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce Amerykanie będą nawet jedli parą. Byle prędzej, bo czas to kapitał!

Odpowiedzi Redakcji.

K. L. w Poznaniu. Na uwagę pańską, że może zbyteczne byłoby wydawnictwo książek popularno-naukowych, o którem pisaliśmy obszernie, ponieważ w Warszawie wychodzi „Międzynarodowa bibljoteka umiejętności" — mamy zaszczyt odpowiedzieć, że wydawnictwo przez nas projektowane ma na celu kształcenie ogółu, wydawnictwo zaś warszawskie, dla wielkiej swojej powagi, jest przeznaczone tylko dla jednostek. Nie o jednostki nam idzie ale o kraj cały.

Mo... w Krakowie. Możemy rozpocząć ale dopiero w Styczniu. Czy zgoda?

Iskra w Krakowie. Przysłane nam poezje nie będą drukowane.

Dr. W. D. w Krakowie. Za obszerne dla naszego pisma. Czy nie możnaby spisać popularniej i w ramach szczuplejszych? Oczekujemy decyzji.

J... Bukaczowce. Postąpimy stosownie do życzenia.

E. S. w Mog. i R. w Dż. Wiersz umieszczony w poprzednim numerze naszego pisma, otrzymaliśmy od osoby dobrze znającej Zygmunta Krasińskiego, która opierając się na fakcie, że Zygmunt Krasiński ogłaszał wiele ze swoich prac pod przybranemi nazwiskami współczesnych mu pisarzy, a „Trzy myśli Ligenzy" pod nazwiskiem nawet Konstantego Gaszyńskiego, — utrzymuje, że i „Pogrzeb Murada Baszy" jest utworem pierwszego, chociaż drugi pomieścił go w swoim zbiorze. Zresztą nie spieramy się o autorstwo. Pismo nasze zwracając uwagę na wszystko co się w jednym tygodniu stanie, uznało za stosowne przypomnieć czytelnikom swoim wielką postać Bema, bo we Węgrzech głośno teraz o niej mówią — a powtórzenie tego wiersza prześlicznego, zwłaszcza że koła obszerniejsze wcale go nie znają, było zdaniem naszem najodpowiedniejszą illustracją tej sprawy.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszem piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

— Manuskryptów redakcja nie zwraca, z wyjątkiem tych, których zwrot autor sobie zastrzeże.

Treść Nr. 7.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.